

0

issn 3071-950X

PLAZACIEMNIA

NIE OGLĄDAM



BYŁE CZEGO

teksty	spis	o b r a z y
	okładka A okładka B	Andrzej K. Urbański Pandemic. Nad kanałem; Kiedy grzech jest byle czym. Studium z Bacona
Emilia Nielsen wiersze z tomu <i>Ciałopraca</i> , tłum. Kolektyw Femina Hodierna	2, 9 2	Mariusz Czeżyk
Ilona Witkowska ja tam lubię, jak ludzie żyją w kłamstwie, jest spokój	8	
Andrzej K. Urbański HCM (fragment) Maciej Milach O HCM	10, 17 11 16	Andrzej K. Urbański Karty z notatnika pisarza
Jerzy Franczak Koszmarny dzień, po prostu koszmarny	18, 20 21	Andrzej K. Urbański Udreka i groza; Arcanum imperii II
Jacek Żebrowski Póttora tysiąca słów o niczym zakończone czystą przemocą	23, 24, 27 30	Grzegorz Wróblewski Asemic notes
Maciej Milach Jest li język medžuslovjansky humanističny?; Czy język międzystowiański jest humanistyczny?	31, 34 36	Michał Będkowski Death; Figures
Ewa Jarocka spotkałam siebie we śnie	37 40 41 42	Maciej Milach Dominik Pędziwol Popwtórki Lena Czerniawska Odbicie; Obtęd II; Złodziej; Tchórz
Rafał Kwiatkowski Brutte caffì	46 48, 50	Małgorzata Skatbania Mxy; Pont Alexandre III; Église Notre-Dame de Versailles; L'École-Saint- Nicolas, Igny, Essonne, Francja
Ewa Jarocka zamiast okularów; swojskie chłopak	49 52	Aleksandra Winnicka Guwernantka Jokera
Mariusz Sambor czas	53 57	Wacław Mejbaum Sat i Az-Or – Kronos
Roman Bromboszcz Corpo Trash; Kontakt; Source Code Ventures	60	Tomasz Bohajedyn Zbigniew Libera My Mother and I
Anke Machowski Manifest demokracji bezpośredniej	62 67 71	
Stawomir Shuty Księga nieurodzaju Konrad Góra Doma tek; inc. umry umry...	73, 78, 86, 89 74 76 77	Mariusz Czeżyk Wacław Mejbaum Kot
Marcin Czerwiński inc. szotne gilt; Świat pełen jest byłych	79	
Paweł Orzeł fragment powieści, której pewnie nie uda mi się nigdy skończyć, <i>Całe życie z ludźmi</i> Piotr Brencz Viet_Nam XXXIII	81 87 90	Andrzej K. Urbański W trosce o dobro pacjentów; Przez chwilę nie patrz; Objet petit a
	okładka C okładka D	

Emilia Nielsen

Wiersze z tomu *Ciałopraca*

(*Body Work*, Signature Editions, 2018)

Tłumaczenie: Kolektyw Femina Hodierna

(Aga Gabor da Silva i Emilia Staniek)

Pamięci Aasy Rity Nedergaard

1926–2000



Mariusz Czeżyk, *bez tytułu*,
ołówkiem oraz kredkami

Tłumaczki dziękują Emilii Nielsen za zgodę na publikację wierszy.

Rozdział 1. Dermografia. (Pożądanie)

a)

Więcej niż jakieś liczenie nacięć, zadrażnień?
To znamię, tamten pieprzyk. Więcej niż deskrypcja
(dekoratywny skrypt).

Włóczyć się, wynurzać. Drążyć trochę.

Staję się ladaczną, lichą: dermografką^{a?}

[i]

Komar, wierzbówka kiprzyca. Whisky, wyrywanie włosów. Gryzienie i przezroczyść.
Motanie skóry: deszczmeteorów i pinezka. Wrażliwa, znaczone zębem:
mętne plucie —

^a Duży mózg, pocące się ciało: Człowiek.

*(dermografka): pisarkaskóry. Mapa
siły pożądania, tekst skóry? Tête-à-tête.
Niepewna: gryzmoła, gryzmolenie...^b

b)
powierzchniowe pooperacyjne
nie (wiąza)nie
powierzchowne poddane

powierzchniatypograficzna
(ale nie ograniczona do powierzchni)

koniecznie szkicowo*

[i]
Słone powietrze, sosna. Znajdując punkty oparcia, nurkuję
w głąb. Posilny. Styl klasyczny i holownik^c. Prąd głębinowy,
wspinanie się. Skąta, ciepłe ciało. Wypolerowana skóra:
muśnięta słońcem, płonąca —

^b Skąd ta ewolucja nieowłosionej skóry? Pot. (Nigdy nie lekceważ znaczenia pocenia się.)

^c Skóra, naga i sprężysta, redukuje opór. Jest to korzystne podczas pływania.

*(szkicowa): ewokacja skóry. Zwodnicza.
Nigdy całość _____. Aparycja,
(nieskończenie) giętka. Ta wrażliwa, podatna
powierzchnia — elastyczność, ograniczenie. Mózg
plastyczny: dziurawy, rozdziawiony. Wytrzymuję^d.

Rozdział II. Symptomatyczna

Fotofobia

Niepodobna do strachu, irracjonalna wiara,
nie strach przed zbiegowiskiem po prostu nie mogę.
Nie mogę dziennego czy sztucznego. Nie mogę słońcaⁿ.
Nie mogę promieni, jasności. Nie mogę migotania.
Nie mogę błysków. Nie mogę światła. Nie mogę na torze.
Nie mogę wytrzymać. Nie mogę odwrócić wzroku.

^d Funkcjonalnie naga: istotnie pocąca się, gdy rozgrzana. W czasie upałów utrzymuj chłodną głowę.

ⁿ Nasza skóra, osłona chroniąca przed słońcem. Ciało sprzyja to, że natychmiast wytwarza witaminę D.

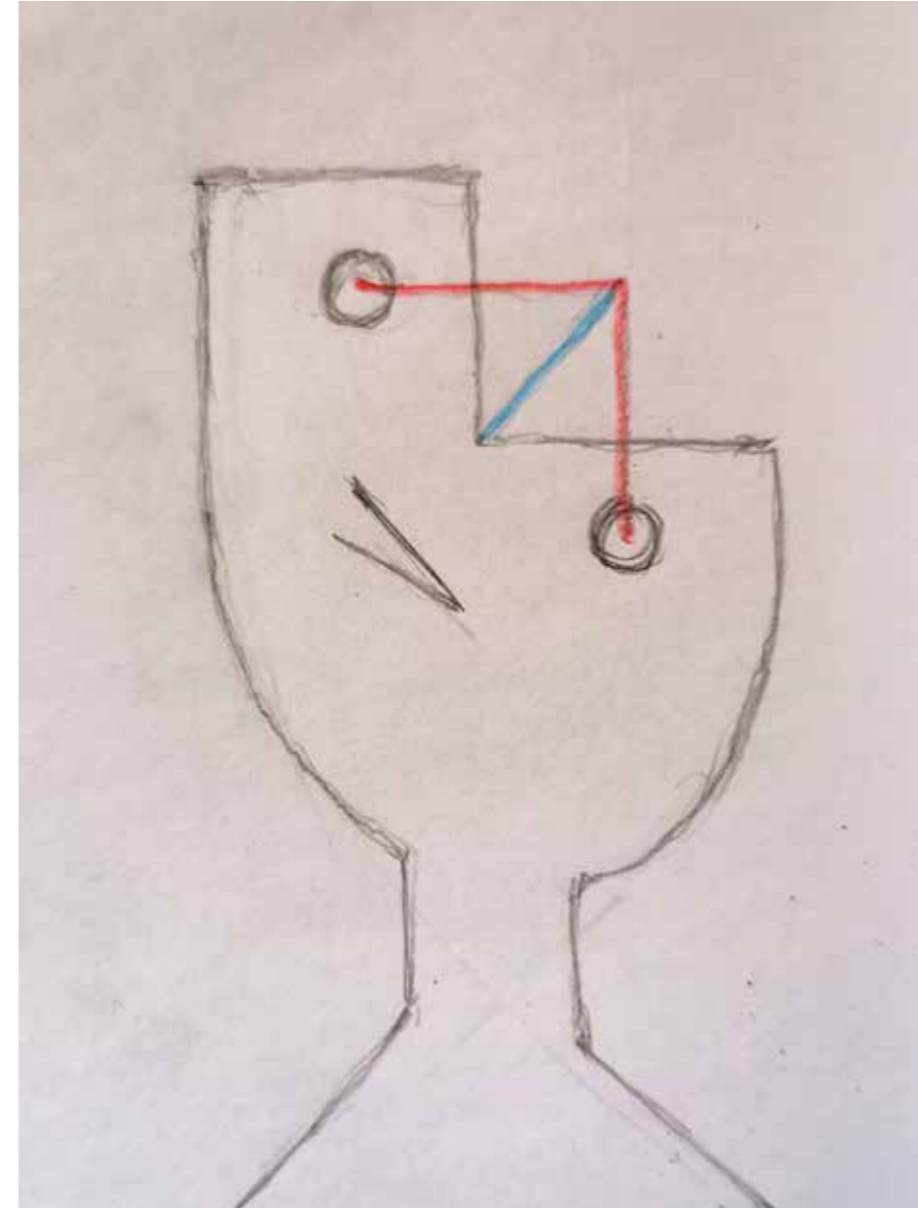
Ilona Witkowska

ja tam lubię, jak ludzie żyją w kłamstwie, jest spokój

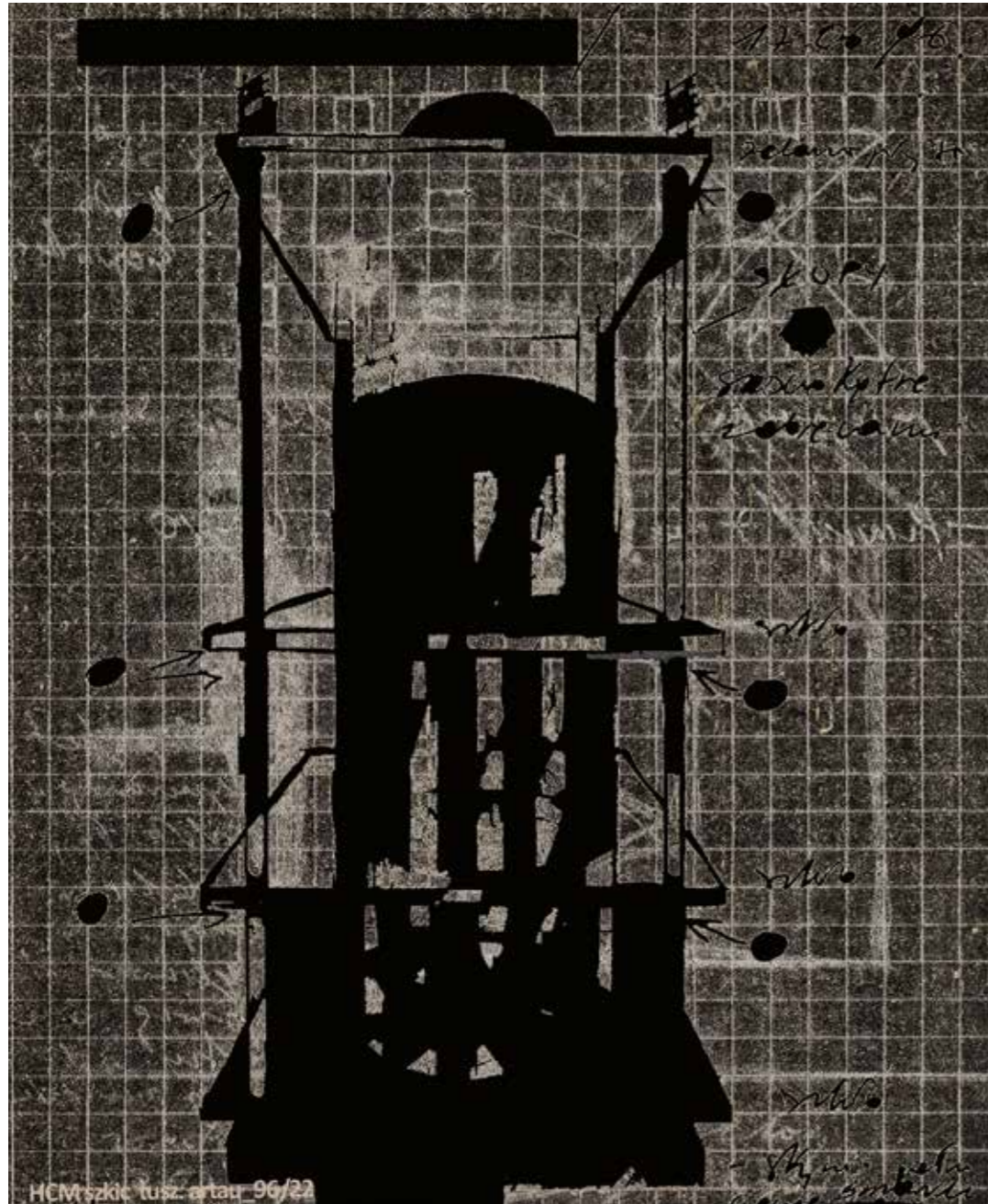
a drugie przyście to był holocaust i nikt go nie przyjął i dlatego wszystko się od tamtej pory jebie.
a trzecie przyście to jest masowe przyście:

świnie to jest chrystus.

w panice zrywam z szyi wyimaginowane perły –



Mariusz Czeżyk, *bez tytułu*, ołówkiem oraz kredkami



Andrzej K. Urbański HCM, Karta z notatnika pisarza, skan autorski. 1996-2022

Andrzej K. Urbański

H C M [fragment]

Wewnątrz (?) zardzewiałej skrzyni wypełnionej w całości ciemną cieczą tkwi jeden dwa sześciennie pojemniki z miedzi zanurzone częściowo w cieczy. Na pojemniku znajdującym się po prawej stronie stoi duży cylinder z matowego szkła. Na pojemniku tkwiącym po lewej stronie stoi cylinder z przezroczystego szkła, w którym znajduje się gruba zardzewiała spirala. Między cylindrami tkwi wysoka prostokątna płyta z zardzewiałego żelaza przytwierdzona do tylnej i przedniej krawędzi skrzyni jedną dwiema dużymi śrubami z miedzi. Zardzewiałe kopuły obu cylindrów połączone są cienkim miedzianym przewodem. Całość znajduje się w zamkniętej kwadratowej sześcienniej skrzyni z miedzi będącej środkową częścią wysokiej sześcienniej kolumny z matowego szkła stojącej na końcu szerokiej i grubej szyny z zardzewiałego żelaza. Obok kolumny po prawej stoi jedna dwie trzy cztery pięć takich samych kolumn. Ich zardzewiałe podstawy połączone są grubym zardzewiałym przewodem. Szyna na której stoją kolumny leży na jednym dwóch niskich walcowatych i zardzewiałych zbiornikach. Między nimi tkwi sześcienna szklana skrzynia częściowo wypełniona bardzo drobnymi kulkami z miedzi pokrytymi miejscami czerwonym nalotem. Końce jednego dwóch trzech zardzewiałych przewodów tkwią zatopione w szkle poziomej górnej ścianie skrzyni. Z drugiej strony przewody owinięte są wokół krótkiego miedzianego pręta tkwiącego w przedniej zardzewiałej ścianie ostatniej odchylonej lekko do tyłu kolumny stojącej na końcu szyny po lewej. Szeroka rura z matowego szkła łączy niski walcowaty pojemnik z miedzi tkwiący po lewej z sześcienną skrzynią z matowego szkła znajdującą się pod szyną z kolumnami, i wypełnioną w całości drobnym białym pyłem. Wszystko tkwi w ledwo widocznej prostokątnej wnęce znajdującej się w lewym górnym

narożniku przedniej kwadratowej ściany sześciennego zbiornika z miedzi zamkniętego u góry grubą pękniętą szybą. Zbiornik osadzony jest na jednym dwóch trzech czterech pionowych bardzo wysokich walcowatych kolumnach z żarzewiałego żelaza. Poniżej miedzianego zbiornika tkwi na nich poziomo jedna dwie trzy cztery pięć sześć siedem sześciokątnych grubych płyt z miedzi. Przestrzenie między nimi wypełnia ciemny i gęsty smar. Całość tkwi na dnie sześciennego zbiornika z żarzewiałego żelaza. Po prawej blisko ściany stoi wysoki sześcienny pojemnik ze szkła. Wewnątrz znajduje się jedna dwie trzy cztery pięć stojących pionowo w niedużych odstępach grubych płyt z miedzi. Wszystkie krawędzie płyt zatopione są w grubych szklanych ścianach pojemnika. Przestrzeń między płytami wypełnia w całości ciemna ciecz. Na przeciw pojemnika po prawej tuż przy ścianie stoi na jednym dwóch trzech krótkich żarzewiałych prętach duży kulisty zbiornik z miedzi. Pod nim znajduje się płaski sześcienny i żarzewiały pojemnik. Jedna dwie trzy wąskie rurki z matowego szkła, których końce tkwią w jego przedniej pionowej ścianie łączą go z wysokim sześciennym pojemnikiem ze szkła stojącym na przeciw po prawej i wypełnionym w całości białym pyłem tkwiącym między pionowymi płytami z żarzewiałego żelaza. Do ściany na wprost przytwierdzona jest jedną dwiema trzema żarzewiałymi śrubami okrągła rama z miedzi pokryta miejscami czerwonym nalotem. Tkwi w niej gruba szyba z zatopioną wewnątrz szkła gęstą żarzewiałą siatką. Przy ścianie na przeciw stoi wysoka i wąska kolumna z cienkiego szkła wypełniona w całości czarną cieczą. Wewnątrz szklanej ściany kolumny tkwi rozciągnięta od góry do dołu żarzewiała spirala z bardzo grubego pręta. W centrum żarzewiałej ściany przy której stoi szklana kolumna znajduje się duża kwadratowa wnęka w której tkwi jedna dwie duże żarzewiałe kule połączone ze sobą grubym i krótkim przewodem z miedzi pokrytym miejscami czerwonym nalotem. Kula tkwiąca w głębi po lewej połączona jest także z górną ścianą wnęki bardzo krótkim i żarzewiałym przewodem. Całość tkwi zatopiona w centrum dużej matowej szyby będącej przednią ścianą małego sześciennego pojemnika ze szkła. W pozostałych pionowych ścianach pojemnika zatopiona jest bardzo gęsta siatka z bardzo cienkiego miedzianego drutu. Górna matowa szyba będąca pokrywą pojemnika jest pusta. Płaska skrzynia z żelaza na której tkwi szklany pojemnik leży na jednym dwóch trzech czterech pionowych żarzewiałych rurach przymocowanych grubymi miedzianymi obręczami do jednego, dwóch trzech czterech szerokich pionowych i niskich cylindrów z matowego szkła. Z lewej strony skrzyni znajduje się pionowa bardzo wysoka płyta z cienkiego matowego szkła. Wewnątrz niej tkwi jeden dwa trzy pionowe wąskie i puste kanaliki. W miejscach gdzie się znajdują szyba jest przezroczysta. Płaską skrzynię łączy z szybą jedna dwie trzy poziome żarzewiałe rurki których końcówki tkwią wewnątrz kanalików w połowie wysokości

matowej szyby. Z drugiej strony żarzewiałe rurki tkwią przymocowane żelaznymi obręczami do bocznej ściany płaskiej skrzyni. Z prawej strony skrzyni znajduje się druga podobna matowa szyba. Wewnątrz niej tkwi jeden dwa trzy cztery pięć sześć pionowych wąskich i pustych kanalików. W miejscach gdzie się znajdują szyba jest przezroczysta. Płaską skrzynię łączy z szybą jeden dwa trzy cztery pięć sześć poziomych żarzewiałych rurek których końcówki tkwią wewnątrz kanalików w połowie wysokości szyby. Z drugiej strony żarzewiałe rurki tkwią przymocowane żelaznymi obręczami do bocznej ściany płaskiej skrzyni. Z lewej strony skrzyni znajduje się trzecia podobna matowa szyba. Wewnątrz niej tkwi jeden pionowy wąski i pusty kanalik. W miejscu gdzie się znajduje szyba jest przezroczysta. Płaską skrzynię łączy z szybą jedna pozioma żarzewiała rurka której koniec tkwi wewnątrz wąskiego kanalika w połowie wysokości szyby. Z drugiej strony żarzewiała rurka tkwi przymocowana żelazną obręczą do bocznej ściany płaskiej skrzyni. Z prawej strony skrzyni znajduje się czwarta podobna matowa szyba. Wewnątrz niej tkwi jeden dwa pionowe wąskie i puste kanaliki. W miejscach gdzie się znajdują szyba jest przezroczysta. Płaską skrzynię łączy z szybą jedna dwie poziome żarzewiałe rurki których końce tkwią wewnątrz kanalików w połowie wysokości szyby. Z drugiej strony żarzewiałe rurki tkwią przymocowane żelaznymi obręczami do bocznej ściany płaskiej skrzyni. Całość tkwi zamknięta wewnątrz małego walcowatego pojemnika z miedzi stojącego na środku dużej kwadratowej płyty z żarzewiałego żelaza i połączonego wąską żarzewiałą rurką z sześciennym zbiornikiem z matowego szkła stojącym na środku żarzewiałej płyty. Nieco poniżej grubej matowej szyby będącej poziomą górną ścianą pojemnika znajduje się gruba żarzewiała płyta tkwiąca na jednym dwóch trzech czterech pięciu sześciu siedmiu poziomych i żarzewiałych prętach częściowo zatopionych w szkłe pionowych ścian pojemnika. Na płycie stoi jeden dwa trzy cztery pięć sześć dużych stożków ze szkła. Stojące w jednakowych odstępach stożki przytwierdzone są do miedzianej płyty szerokimi żarzewiałymi obręczami przykręconymi do płyty jedną dwiema trzema czterema drobnymi śrubami z miedzi każda. Pierwszy trzeci czwarty piąty i siódmy stożek wypełniony jest w całości bardzo ciemną prawie czarną cieczą. Drugi i szósty trochę mniejsze od pozostałych są puste. Całość znajduje się w centrum dużej kwadratowej i żarzewiałej płyty osadzonej poziomo na jednym dwóch trzech czterech sześciokątnych wysokich słupach z żarzewiałego żelaza. Poniżej szerokie żelazne obręcze przytwierdzone do słupów jedną dwiema trzema czterema pięcioma sześcioma dużymi śrubami każda, utrzymują jedną dwie trzy nieco większe i grubsze płyty ze szkła ułożone poziomo w jednakowych odstępach. Wszystkie płyty posiadają usytuowany centralnie duży owalny otwór. Tkwi w nich wysoki cylinder z bardzo grubego szkła. Jego pionowe ściany przylegają bezpośrednio

do krawędzi owalnych otworów. Miedziana pokrywa cylindra tkwi częściowo w zardzewiałej płycie znajdującej się powyżej. Szklane dno cylindra zanurzone jest natomiast w ciemnej cieczy wypełniającej płaską zardzewiałą skrzynię wiszącą na słupach tuż pod znajdującą się najniższą grubą płytą ze szkła. W grubej ścianie cylindra znajduje się jeden dwa trzy cztery pięć wąskich pionowych pasów z cienkiej zardzewiałej blachy. Nieregularnie rozmieszczone pasy stykają się u góry z miedzianą pokrywą cylindra. Na dole wygięte do środka pod kątem prostym pasy tkwią w szklanym dnie połączone ze sobą. Między pierwszą a drugą płytą z grubego szkła znajduje się wąski poziomy kanał wydrążony w ścianie cylindra bliżej jego zewnętrznej strony i wypełniony w całości bardzo drobnymi kostkami z matowego szkła. Centralny punkt zardzewiałej pokrywy cylindra oraz jego dno łączy bardzo wąska rurka ze szkła wypełniona gęstą wiązką cienkich zardzewiałych przewodów pokrytych miejscami czerwonym nalotem. Poniżej płaskiej zardzewiałej skrzyni wypełnionej białym drobnym pyłem żelazne słupy na których zawieszono są szklane płyty tkwią swymi nieco szerszymi podstawami w centrum pionowej kwadratowej płyty z grubego zardzewiałego żelaza. W jej lewym górnym narożniku oraz obu dolnych wycięte są małe kwadratowe otwory w których tkwią cienkie matowe szyby. W prawym górnym narożniku płyty okrągły nieco większy otwór jest pusty. Pionowe krawędzie płyty tkwią osadzone w szczelinach jednej dwóch równoległych do siebie bardzo długich zardzewiałych płyt tej samej wysokości. Na ich drugim końcu znajduje się pionowa kwadratowa płyta z zardzewiałego żelaza tej samej wysokości ustawiona między płytami i osadzona w ich pionowych szczelinach. W jej prawym górnym narożniku oraz obu dolnych wycięte są małe kwadratowe otwory w których tkwią cienkie matowe szyby. W lewym górnym narożniku płyty okrągły nieco większy otwór jest pusty. W centralnym punkcie płyty znajduje się bardzo mały okrągły otwór którego krawędzie zakryte są płaską miedzianą obręczą. Tkwi w niej ledwo widoczna wklęsła szklana płytką. Za nią w głębi otworu znajdują się końce bardzo cienkich miedzianych przewodów złożonych w gęstą wiązkę. Dolne poziome krawędzie wszystkich płyt tkwią w szczelinach poziomej płyty z zardzewiałego żelaza tej samej szerokości i długości. Górne poziome krawędzie wszystkich płyt tkwią osadzone w szczelinach poziomej zardzewiałej płyty tej samej szerokości i długości. Na pionowej długiej płycie po prawej znajduje się jeden dwa trzy cztery pięć sześć wysokich i szerokich cylindrów z grubego szkła wiszących w jednakowych odstępach. Cylindry przytwierdzone są do ściany szerokimi zardzewiałymi obręczami przykręconymi do żelaznej ściany jedną, dwiema, dużymi śrubami z żelaza każda. Wszystkie cylindry wypełnione są w całości ciemną prawie czarną cieczą i połączone ze sobą wąską poziomą rurką z miedzi która przechodzi przez ściany cylindrów w połowie ich wysokości. Cylinder znajdujący się najbliżej

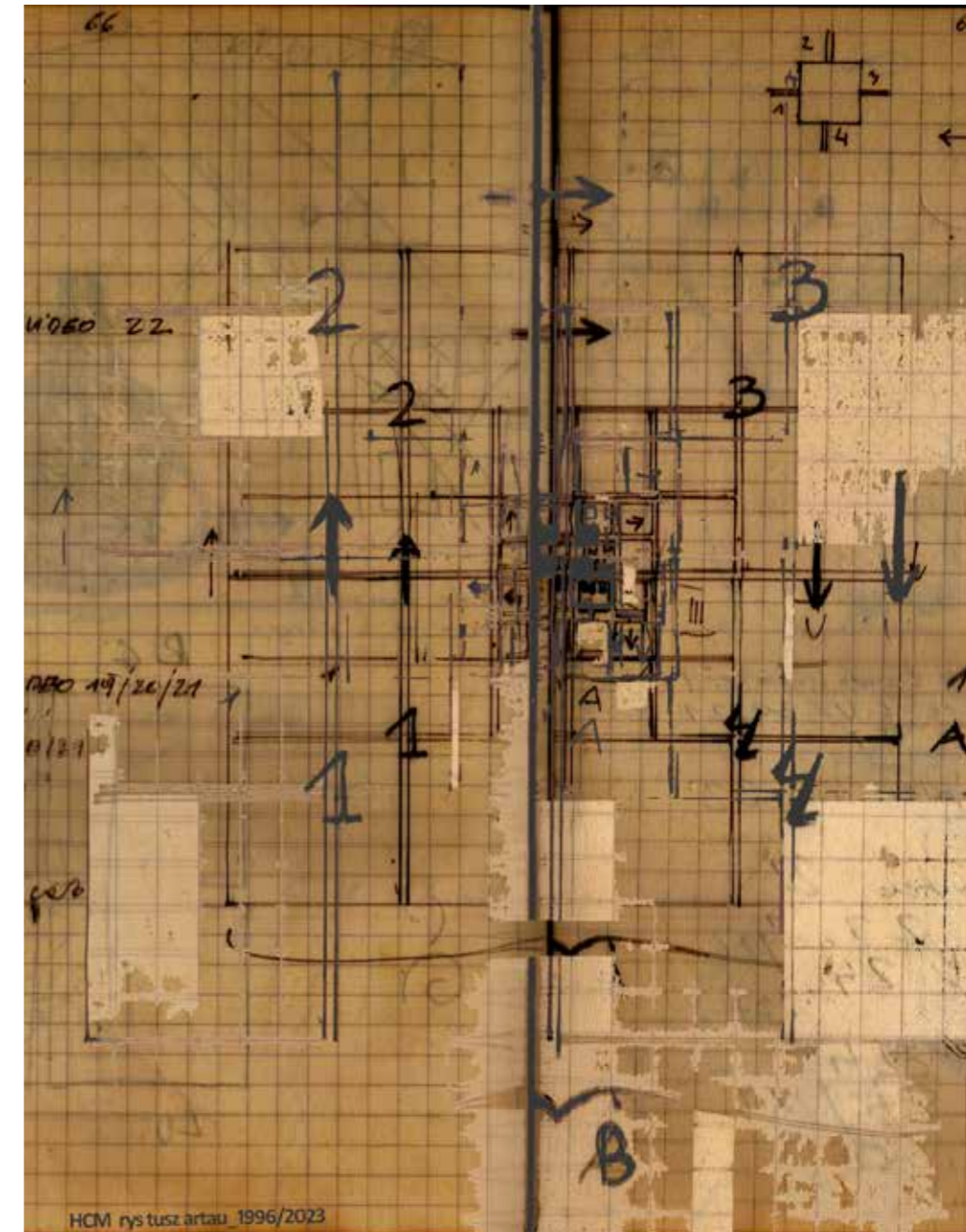
kwadratowej płyty stojącej po lewej stronie połączony jest z nią nieco szerszą szklaną rurką wypełnioną białym drobnym pyłem. Jeden jej koniec tkwi w górnej szklanej pokrywie cylindra. Drugi natomiast tkwi w kwadratowym otworze znajdującym się w prawym górnym narożniku płyty. Ostatni dwunasty cylinder połączony jest nieco szerszą pustą rurką ze szkła z pionową kwadratową płytą stojącą po prawej. Jeden koniec rurki tkwi zatopiony w centralnym punkcie szklanego dna cylindra drugi natomiast tkwi w kwadratowym otworze znajdującym się w lewym, górnym narożniku płyty. Na pionowej długiej płycie tkwiącej po prawej znajduje się jeden dwa trzy cztery pięć wysokich i szerokich cylindrów z grubego szkła zawieszonych w jednakowych nieco większych odstępach. Cylindry przytwierdzone są do ściany szerokimi zardzewiałymi obręczami przykręconymi do żelaznej ściany jedną dwiema dużymi śrubami z żelaza każda. Puste cylindry połączone są ze sobą wąską poziomą rurką z żelaza która przechodzi przez ściany cylindrów tuż przy ich górnej krawędzi. Cylinder znajdujący się najbliżej kwadratowej płyty stojącej po lewej stronie połączony jest z nią nieco węższą pustą rurką ze szkła. Jeden jej koniec tkwi w centralnym punkcie szklanego dna cylindra. Drugi natomiast tkwi w niedużym okrągłym otworze znajdującym się w prawym górnym narożniku płyty. Ostatni dwunasty cylinder połączony jest nieco węższą wypełnioną w całości szarym pyłem szklaną rurką z pionową kwadratową płytą znajdującą się po prawej stronie. Tkwiąca z tyłu długa miedziana płyta z cylindrami wypełnionymi ciemną prawie czarną cieczą przylega całą powierzchnią swojej zewnętrznej strony do krawędzi małej okrągłej płyty ze szkła zatopionej poziomo w szklanym sześcianie nieco powyżej jego środka. Całość tkwi wewnątrz ledwo widocznej zardzewiałej kostki zamkniętej u góry cienką szklaną płytką. Ta oraz jedna dwie trzy cztery pięć jednakowych zardzewiałych kostek jest połączonych ze sobą ledwo widocznym miedzianym drucikiem zatopionym w cienkim szkle cylindra wraz z zardzewiałymi kostkami. Szklany cylinder wypełniony w całości rozszerza się lekko ku dołowi i dzieli na dwie węższe kolumny. Ich końce tkwią w okrągłych otworach znajdujących się pośrodku dwóch sześciokątnych pojemników z żelaza zatopionych częściowo w szkle niedużej i grubej szyby z matowego szkła. Tkwiąca ciasno w zardzewiałej ramie szyba stanowi dno dużego sześciokątnego zbiornika z matowego szkła tkwiącego poziomo między jedną, dwiema niedużymi trójkątnymi płytami z miedzi zatopionymi swymi podstawami w szkle ledwo widocznej sześciokątnej szyby z matowego szkła osadzonej ciasno w kwadratowej ramie z miedzi pokrytej miejscami czerwonym nalotem. We wnętrzu dna szklanego cylindra tkwi krążek z matowego szkła z pustym środkiem. W środku środka tkwi ledwo widoczna okrągła płytką ze szkła osadzona wewnątrz obręczy z zardzewiałego żelaza i nadal otwarta dla ciebie

Wrocław 2021

Jeżeli ktoś nie wiedział dotąd, jak działa sprzężenie myśl-umysł-rzeczywistość, to słuchając prozy nieprozy Andrzeja K. Urbańskiego mógł to lepiej zrozumieć. Jak mówił Gurdżijew – człowiek maszyna nie może nic czynić. Wszystko mu się zdarza. Na nic nie ma wpływu. Nie widziałem dotąd dosadniejszej artystycznej ilustracji tej metafory. To co jest w nas mechaniczne (umysł), zawsze oczekuje od życia i sztuki jakiegoś efektu, puenty i organizuje rzeczywistość w wyobraźni pod te założenia, we wszystkim doszukując się sensu*.

Maciej Milach o HCM

* z recenzji spektaklu na podstawie tekstu Andrzeja K. Urbańskiego pt. HCM
Adaptacja i dźwięki: czervo01. Głos: Orfeusz Jakubiszyn. Klub ADA,
Warszawa, 26.04. 2019



Andrzej K. Urbański HCM. Karta z notatnika pisarza, skan autorski. 1996-2022



Andrzej K. Urbański, *Udręka i groza*. Kolaż.
Druk atramentowy 100 x 228,54 cm. 2022



Andrzej K. Urbański, *Arcanum Imperii II*.
Fot. druk atramentowy 119,83 x 73,44 cm. 2021

Jerzy Franczak

Koszmaryny dzień, po prostu koszmaryny

Tuż przed eksplozją Maria ma to na końcu języka – tym razem już nie jakieś fikcyjne zagajenie, lecz najzwyczajniejsze „muszę ci o czymś powiedzieć” – ale spostrzega, że Joanna wpatruje się w coś intensywnie ponad jej plecami. Ogląda się za siebie i widzi dwóch śniadych młodzieńców, na oko dwudziestoletnich, kręcących się w okolicy drzwi wejściowych do lokalu. Jeden rozmawia przez telefon (mówi cicho i nie słycać, w jakim języku), a drugi grzebie w pękatej torbie na ramię.

Niemal wszyscy goście winiarni patrzą lub ukradkowo zerkają w ich stronę. Powoduje nimi potęga stereotypu: para młodzieńców o arabskim fenotypie w miejscu, w którym ma odbyć się koncert muzyki klezmerskiej... Co prawda Kraków pozostaje odległą prowincją systemu-świata, ale przecież wszyscy karmieni są doniesieniami o zamachach islamskich radykałów. Potęga stereotypu, cynizm mediów; incydent z ostrą bronią lub materiałem wybuchowym „robi wydanie”. Zwłaszcza jeśli mamy ofiary. Dobra też jest niepewność, relacjonowanie z miejsca zdarzeń, na gorąco, podejrzana arytmetyka współczucia. U wszystkich wykształcił się jakby osobny układ pokarmowy: wchłanianie, trawienie, wydalanie, pobudzanie łaknienia, regulowanie perystaltyki, higiena defekacji. Ostatnie rewelacje, którymi nakarmili się klienci winiarni, media serwowały z Tunisu (19 zabitych) i kilku egzotycznych miejsc (Sana – 137 trupów, Garissa – 152, Baga – od 100 do 2000), a następnie z Nicei, Stambułu i Brukseli (odpowiednio 84, 46 i 32 ofiary), przy tej okazji powrócił niczym refluks Paryż (12 ofiar w redakcji „Charlie Hebdo”). Przed nimi, w niedalekiej przyszłości, kolejne medialne zakąski: Kabul (80), Berlin (12), Bagdad (71), Sankt Petersburg (15), Manchester (23). Tę globalną fobię wzmacnia lokalny syndrom lękowy, który ujawnia się w zetknięciu z fizyczną odmiennością (tylko jeden stolik zajmują obcokrajowcy).

No więc wszyscy patrzą lękliwie na nowo przybytych. Dwóch smagłych chłopców waha się, czy zostać w winiarni. Coś mówią, ale nie wiadomo, w jakim języku. Jeden nadaje półgłosem do aparaciku i zerka na boki, błyskając białkami. Drugi znalazł coś w torbie – karteczkę, którą pokazuje koledze.

Tymczasem na sali pojawili się dwaj muzycy, jeden z kontrabasem, drugi z akordeonem. Krzątają się, przesuwiają krzesła, rozkładają instrumenty.

Arab przerywa rozmowę, patrzy na zegarek. Znowu dzwoni do kogoś. Ten drugi próbuje odcyfrować napis ze świstka, który trzyma w ręce.

Akordeonista ustawia mikrofon, mówi „raz, raz”, a potem „ein, zwei”, ma to być chyba żart (a może przestyszeliśmy się i naprawdę policzył w jidysz – „ejns, cwei”?), ale nikt się nie śmieje.

– Naam. Tafaddal, tafaddal – mówi głośniejszym głosem jeden z intruzów, daje znak ręką, i obaj wychodzą z lokalu.

Ostatnie spojrzenie: wzięli ze sobą tę cholerną torbę?

Wzięli.

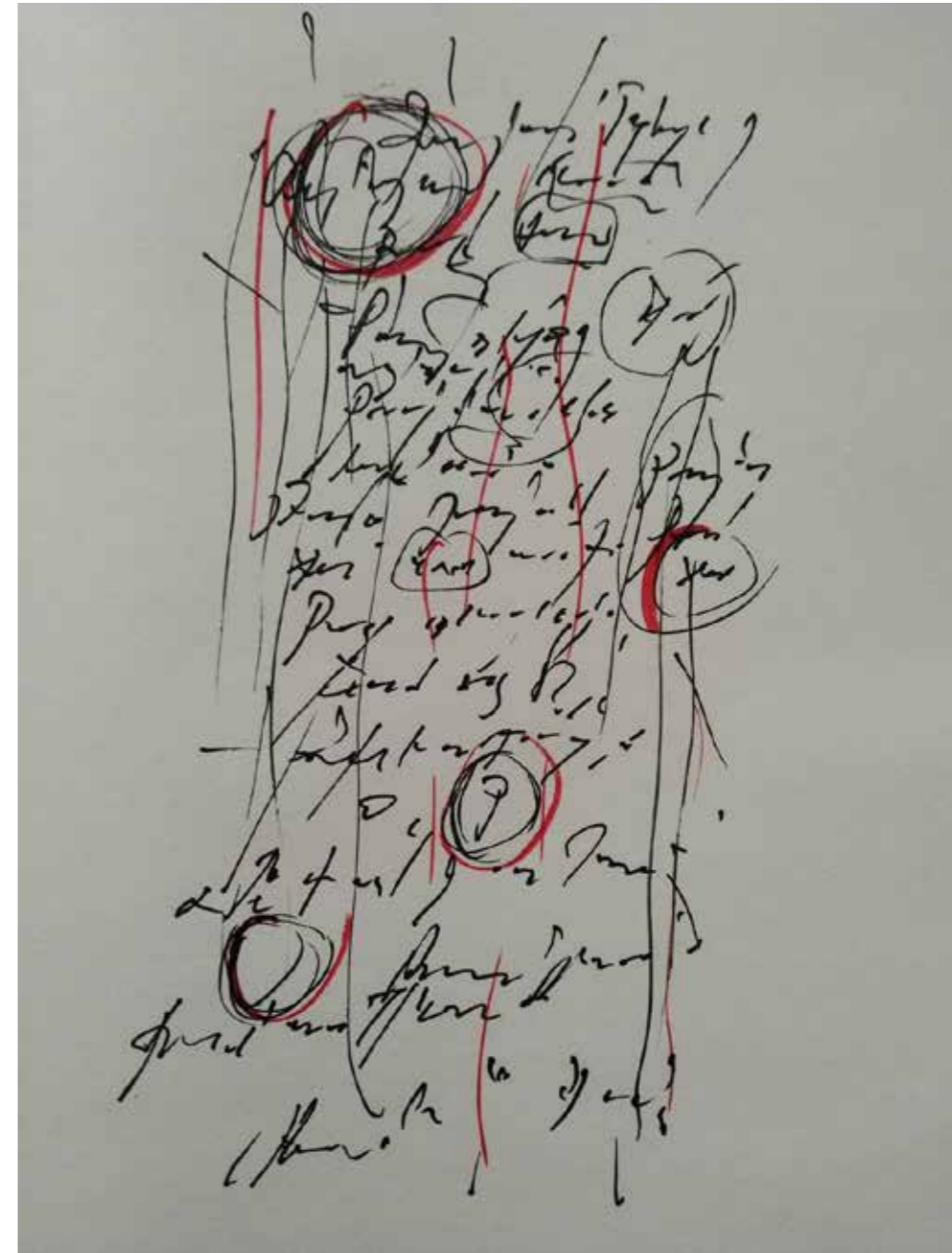
Teraz zgromadzeni dostrzegają muzyków; rozlegają się rzadkie brawa. Tymi oklaskami równocześnie witają artystów i nagradzają krótki występ Arabów, zwłaszcza zaś ich szybkie zniknięcie za kulisami. Można znowu jeść, pić i głądzić, i słuchać klezmerskiej muzyki. Niech Żyd poczciwy zagra, niech buchnie muzyka!

Po chwili większość już nie pamięta o nieproszonych gościach. Niektórzy zapomną o nich na amen. Do innych te dwie zagadkowe figury powrócą w krótkim błysku, kiedy pożar zacznie rozprzestrzeniać się po wnętrzu – będą to prawie myśli, niedokończone, nie całkiem ubrane w słowa. W mózgu, który będzie przetwarzał na najwyższych obrotach możliwe scenariusze działania, gdzieś w tle, w śladowych procesach defragmentacji danych, pojawi się jakieś „czyżby...” albo „to tamci”... Ale by dokończyć tę operację myślową, zabraknie mocy przerobowych i czasu. Na tę jedną chwilę instynkt przetrwania zagłuszy wszystko inne i przywróci gromadę dwunożnych ssaków światu zwierzęcemu.

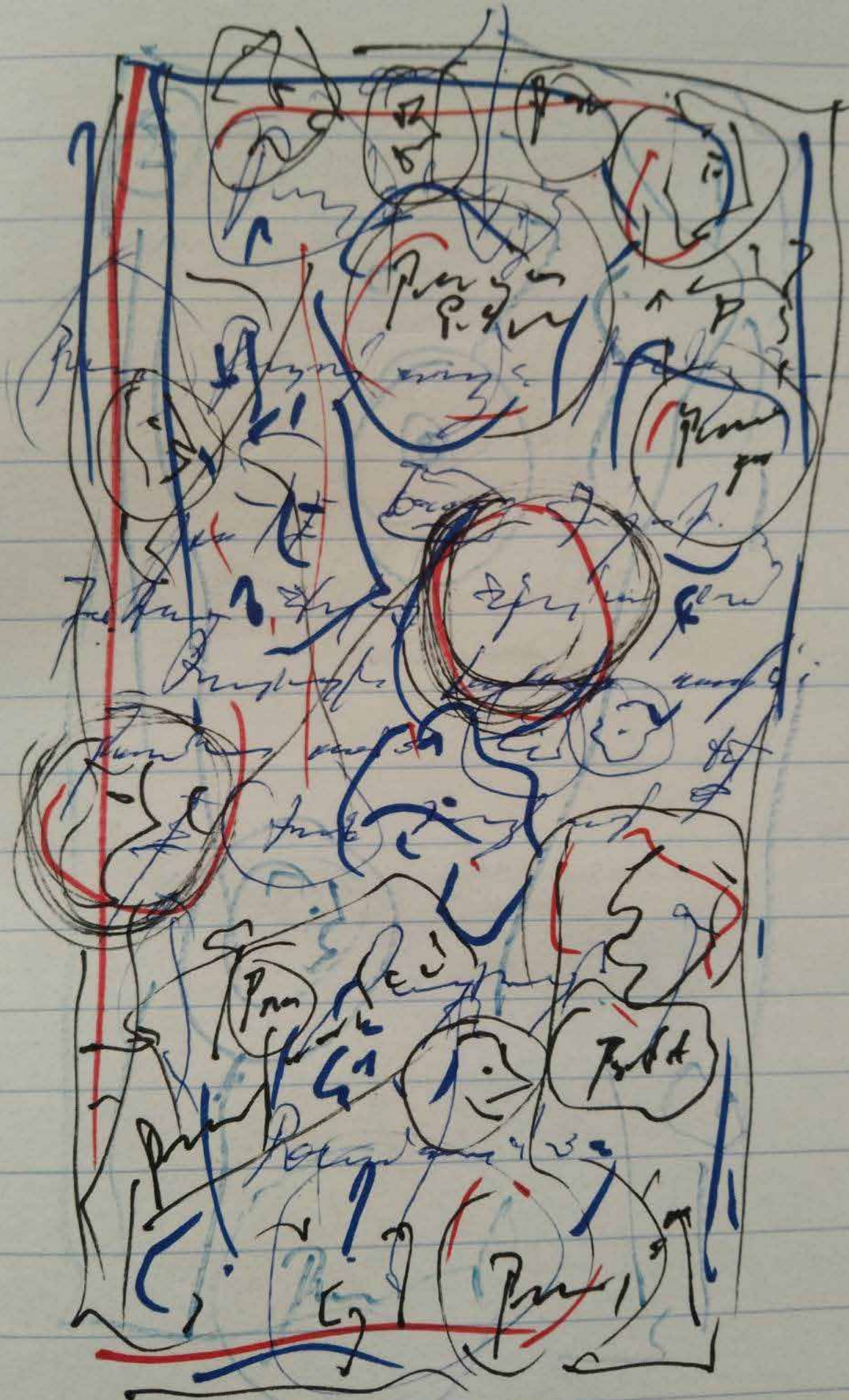
Niewykluczone, że jedyny zamach, jakiego dopuścili się przybysze, był zamachem na opowieść Marysi (oraz błahe table-talki pozostałych).

Maria nie pomyśli o tamtych dwóch. Szamocząc się z drzwiami prowadzącymi na patio, zobaczy, jak za szklanym przepierzeniem rośliny zmieniają ubarwienie z ciemnozielonego na jasnoczerwone. Pomyśli wtedy o Kacprze... i o Wojtku. Jeżeli przeżyje, nie przyzna się do tego nawet przed samą sobą, ale tak, właśnie tak się stanie: pomyśli o dwóch nastolatkach, których darzy dwoma różnymi rodzajami miłości. Tak, miłości, to również stanie się dla niej zrozumiałe, czyli możliwe do pomyślenia. Choć nie starczy czasu, aby to pomyśleć.

W tym samym czasie Kacper zaciągnie się głęboko dymem, złożonym w siedemdziesięciu procentach z pochodnych spalania tytoniu, a w trzydziestu z lotnych pozostałości konopi. Opary wypełnią jego pęcherzyki płucne (wstrzyma oddech i weźmie potężny tyk piwa, żeby wzmocnić działanie substancji) i przedostaną się do krwi, wprowadzając do niej nikotynę, tetrahydrokannabinol oraz setki innych związków chemicznych, których listę otwiera aceton, a zamyka uretan. Po dziesięciu sekundach do mózgu dotrze sprzeczny sygnał: ostrzeżenie i wezwanie do mobilizacji (wydzielania zwiększonych ilości adrenaliny)



Grzegorz Wróblewski, Asemic note 40. 2023



Grzegorz Wróblewski, Asemic note 41. 2023

oraz ukojenie, zachęta do wyhamowania (produkcji dopaminy), coś jakby „baczność!” i „spocznij!” wypowiedziane jednym tchem. Po piętnastu sekundach Kacper wypuści chmurę rzadkiego dymu i bez słowa poda osmaloną lufkę Frankowi, ten zaś przejmie ją lewą ręką, z prawej nie wypuszczając kontrolera playstation.

W tym samym czasie Wojtek będzie jadł kolację z matką, akurat nałoży sobie na kromkę grubą warstwę Nutelli. Matka będzie przeżuwać ser pleśniowy. Oboje będą rozdrabniać pokarm, mieszać pożywienie ze śliną i nasączać je ptaliną, nic do siebie nie mówiąc, wpatrzeni w telewizor. Program drugi telewizji państwowej uraczy widzów filmem sensacyjnym produkcji USA pt. Zastępstwo (The Alternate). Film będzie beznadziejnie głupi (prezydent Stanów Zjednoczonych wpada na pomysł porwania samego siebie, by zapewnić sobie reelekcję, po czym staje się ofiarą prawdziwego porwania), ale po dwudziestu minutach seansu największą głupotą jest nadal go oglądać. Pewnie nie stracą nadziei, że fabuła jakoś się rozwinie. Ojczym Kacpra będzie siedział w drugim livingu, zanurzony w lekturze „Wall Street Journal”.

A Mireczek? Będzie mknął autostradą w autobusie firmy Szwagropol, śpiąc, z czołem przyklejonym do szyby, wygięty w prawo, wykręcony, z otwartymi ustami. Przyśni mu się ta londyńska restauracja, w której przez parę miesięcy pracował na zmywaku, tylko że we śnie otrzyma polecenie, by obsługiwać na sali, będzie miał absolutną pewność, że przy jednym ze stolików siedzi jego żona z synem, wytrze ręce i odejdzie dwa kroki od zlewu, będzie szukał swojego odbicia w przeszklonej szafce, ale lustrzana tafla pozostanie matowa, będzie chciał poprawić krawat, a wówczas odkryje, że nie ma krawata, nie ma też spodni, ani majtek, długa biała koszula ledwo zastrąbia jego członka, który niespodziewanie reaguje wzrodem... Panika. Szukanie bielizny. Krótkie ocknięcie, zamknięcie ust, przełknięcie śliny. Powrót do snu, do kuchni.

Rodzice Marii będą natomiast leżeć w łóżku, z kołdrą zawiniętą na wysokości kolan. Henryk Fiołek z krzyżówkami panoramicznymi w jednym ręku, a długopisem w drugim („ciężka odpowiedź” na siedem liter, trzecia „p”), skupiony na szukaniu słów, wypełniony błogim zmęczeniem, wcześniej bowiem przez pół godziny stał w kącie pokoju, obok paprotki, i machał zawzięcie jednokilogramowymi hantlami. Zofia Fiołek będzie natomiast wcierać w ręce rumiankowy krem pielęgnacyjny (za 6,99 złotych), rozglądać się po pokoju i myśleć: „Co jest właściwie w tym pudle na meblościance?” oraz: „Muszę zdjąć te kwiatki i wyprysznicować, na pewno przypadły kurzem”. Po minucie ciszy odezwie się do męża tymi słowami:

– Koszmarny dzień, po prostu koszmarny.

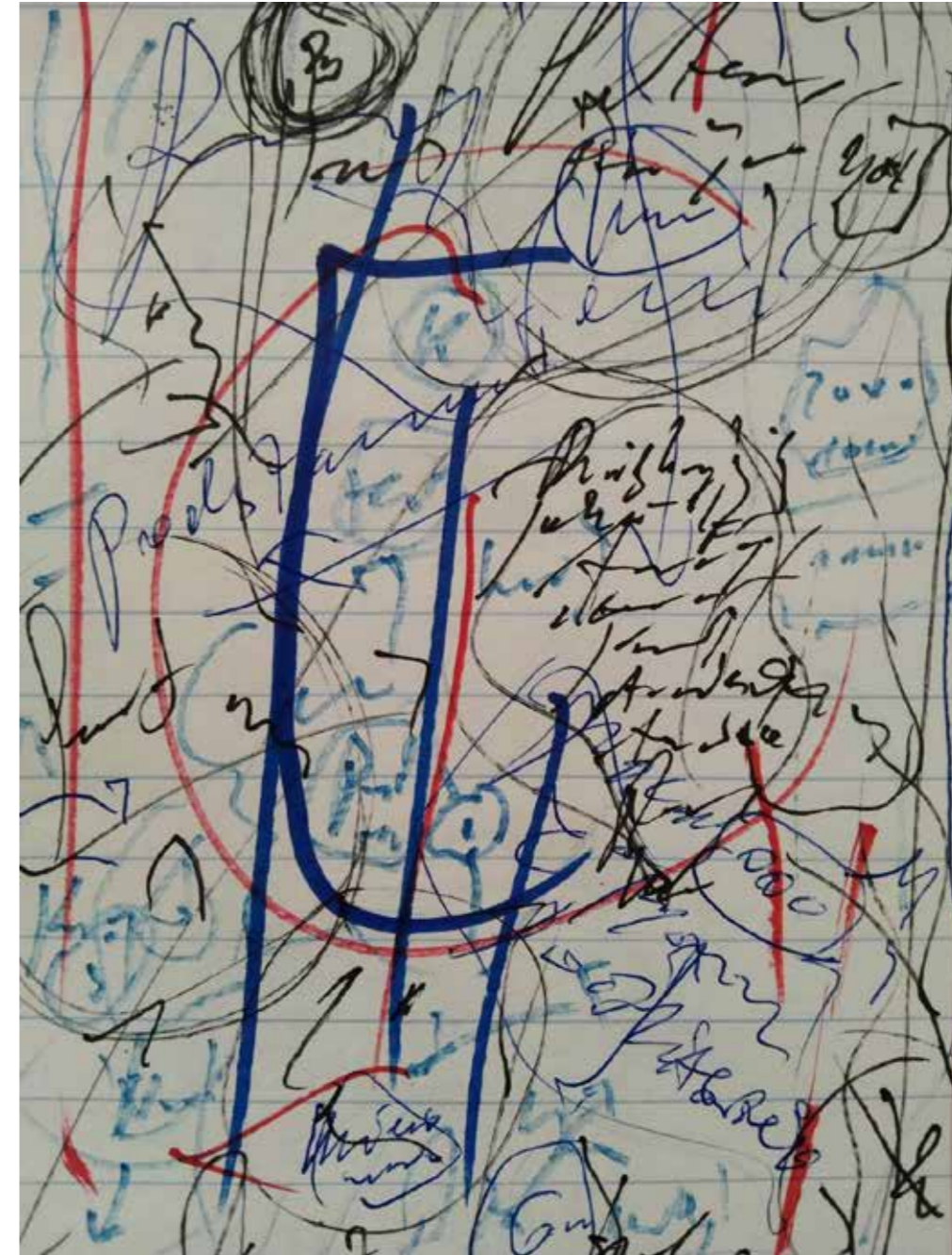
Heniek przytaknie, choć myślami będzie gdzie indziej („pułapka” na pięć liter). Wypada jej wierzyć na słowo; miała koszmarny dzień, przynajmniej jak na

standardy jej spokojnego życia. Spełniło się życzenie jej ojca, który zawsze powtarzał: „Obyś żyła w nieciekawych czasach!”. Ale nawet w nieciekawych czasach przydarzają się tragedie – z tym że na ogół nie nam, tylko naszym bliźnim. Państwo Fiołkowie wkrótce pójną spać. Przed dwudziestą drugą zadzwieczy telefon i pani Zofia niechętnie wygrzebie się z pościeli. Szurając kapciami, powlecze się do przedpokoju. Po drodze będzie mrużyć zrzędlawie:

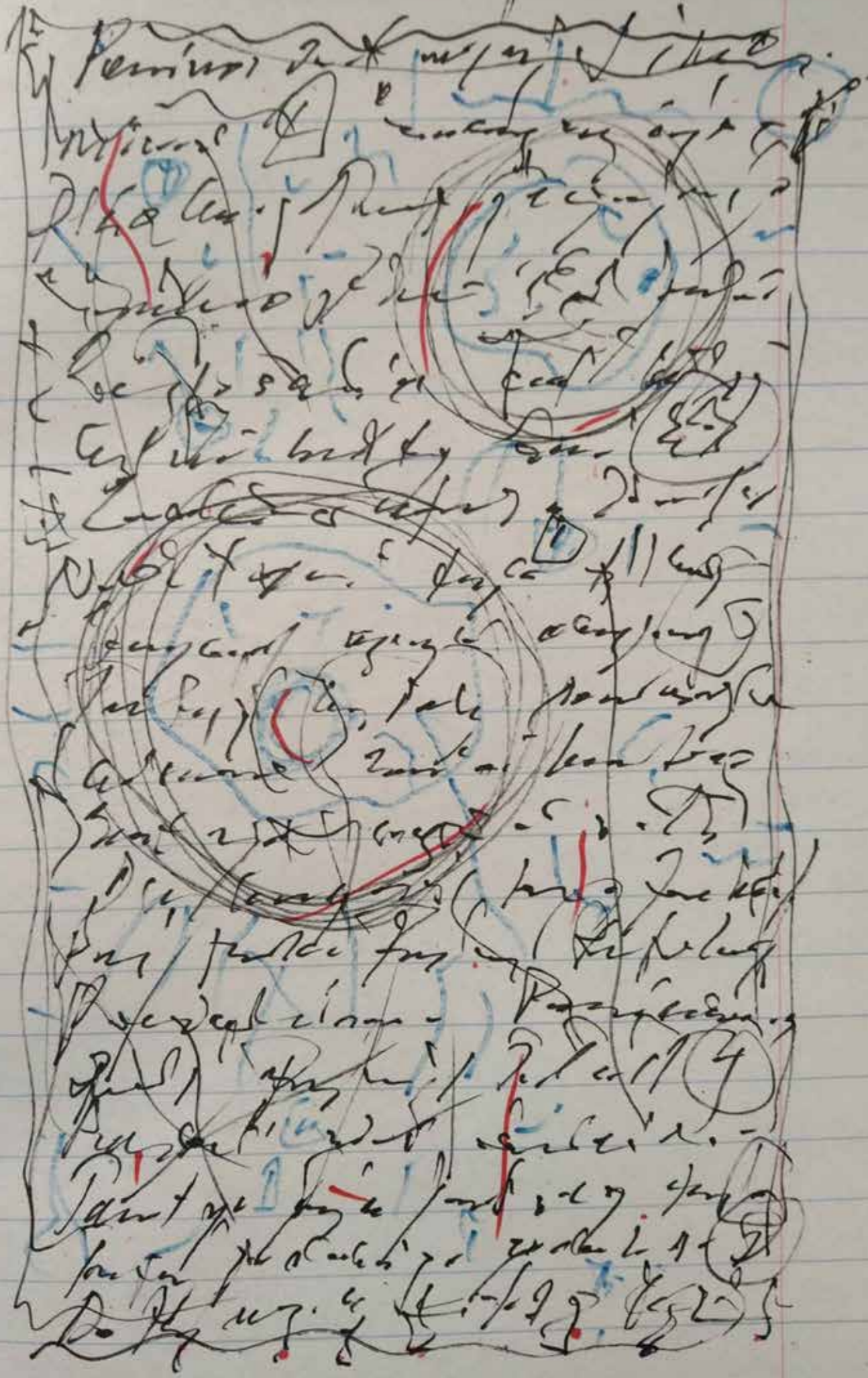
– Kogo to diabli niosą... W środku nocy...

I omiecie spojrzeniem stojący zegar, którego wskazówki zbiegną się idealnie tuż przed cyfrą X.

Fragment powieści pt. Eksplozja (PIW, Warszawa 2022).



Grzegorz Wróblewski, *Asemic note 42. 2023*



Grzegorz Wróblewski, Asemic note 44. 2023



Grzegorz Wróblewski, Asemic note 46. 2023

Jacek Żebrowski

Półtora tysiąca słów o niczym zakończonych czystą przemocą

Zimą często jeździłem na wielkie parties do śródmieścia. Jedno z nich organizował znany dzisiaj z mediów celebryta, który jak wielu śmierdzących kartami kredytowymi i nieruchomościami utracjuszy, miał w zwyczaju szlajać się po gorszych dzielnicach. Zgarniał z głównych promenad i bocznych alejek najbardziej zdeprawowanych świrów i wykolejeńców. Miał ubaw, wrzucając do jednego worka śmietankę finansową z Canary Wharf, bezdomnych chorych na AIDS i crackheadów. Wisienką na torcie, niczym u de Sade'a, była zawsze podstarzała prostytutka, chyba aż z Clacton-on-Sea. Polując jedynie na seks, starałem się unikać takich popaprańców. Nie kręcili mnie opowiadki z rynsztoka, których pełno w „Evening Standard” i „Daily Mail”.

Zaproszenie dostałem od sześćdziesięcioletniego transa, który mieszkał na porzuconej łodzi w starych dokach Surrey Quays. Ćpałem tamtego wieczoru z dilerem, który podrzynał gardła świniom w tradycji halal i musiałem słuchać o wszystkich etapach wiwisekcji. Był też chemiczny gang zombie-pedałów z maczetami. Pogłoska mówiła, że mieli wielu zadżganych na koncie. Wstrzykiwali sobie kilka końskich dawek tyny dziennie.

Ponieważ też byłem na chodzie od kilku dni, potrzebowałem porządne kopa przed długim snem. Zaczynałem widzieć tę typową dla „trzydniówki teatralnej” zdeformowaną rzeczywistość wokół mnie: falujące linie, zniekształcone obrazy, ludzie otoczeni świetlistą aurą, wszystko rozpadające się na migoczące kryształki. Ci od maczet, mimo że byli Aniołami Zła, sprawiali wrażenie elfów ze „Snu nocy letniej”. Ruszyliśmy dalej wraz z dilerem-rzeźnikiem. Zombiaki wyciągały nas na niosące trupi odór nocne tournée po miejskich bagnach. Ich obecność budziła grozę. Wielu ludzi bało się potem do mnie podejść. Nie sprzedawali już głodnych kawałków o kryzysie na rynku nieruchomości ani nienawiści do Corbyna.

Większość gangu odłączyła się na południowy Londyn trzaskać tinę i potem gdzieś dalej, do ciemnych magazynów na kolejny kilkudniowy chemsex. Z pozostałymi wbiliśmy się na domówkę pełną bogatych dzieciaków z Kensington. Rozmawiałem przez chwilę z dziewczyną o złocistych lokach i wielkich zielonych oczach. Pytała, jaką muzyką się nakręcam. Opowiedziałem jej



Michał Będkowski, Death

o swojej kolekcji głosów ludzkich, nagrywanych podczas wszelkich czynności intymnych (defekacja, mikcja, akt seksualny). W pierwszej chwili chyba ją zatkąło. Była dwudziestojednoletnią antropolożką z Nowego Jorku, aspirującą intelektualistką. Nie chciała sobie pozwolić na stratę luzu z byle powodu. Don't be cool, just relax. Zapytała, czy mam na telefonie jakieś nagrania. Oczywiście! W większości, zamiast muzyki wykonywanej przez instrumenty, słucham ludzkich głosów, które opowiadają na przykład o różnych rodzajach cielesnej miłości. Zgrała przez bluetooth kilka rzeczy, skończyła swoje prosecco i oddała się. Spojrzałem na telefon, które pliki zaznaczyła. Na jej nieszczęście w jednym z folderów były też zdjęcia z sekcji zwłok kilkunastu ostatnich morderstw w Londynie. Może była jedną z tych samotnych, bogatych studentek, które włóczy się nocami po zaułkach Peckham, Woolwich, Barnet w poszukiwaniu twardego anonimowego rżnięcia i brudnej przemocy, i którym czasem zdarza się już nie wrócić do domów.

Czy jest jakaś piękniejsza muzyka o poranku niż słuchanie z cyfrowego sprzętu namiętnego głosu szczytującej dziewczyny? Żadnych porno ścieków – sama natura! To lepsze niż czytanie o kolejnym brutalnym, zbiorowym gwałcie czy bestialskim morderstwie w porannym „Metro”. Uważałem, że skoro natura wyposaża ludzi w największe i najbardziej rozwinięte narządy płciowe w proporcji do ciała, uczyniła to dlatego, że tylko oni potrafią utrzymywać stan permanentnej gotowości seksualnej. Tak więc popęd seksualny jest najbardziej ludzkim ze wszystkich instynktów. Życie zapewnia ludziom dość czasu, żeby mogli myśleć i działać, pożądać i uprawiać miłość. Ponieważ jednak siły vitalne są w stanie zawieszenia podczas snu, a najpełniej objawiają się podczas współżycia seksualnego, dzieliłem życie na sferę snu i sferę seksu.

Kiedy spałem, byłem więźniem czasu, który tłumił wszelką moją aktywność. Seks natomiast wyzwalał mnie, dostarczając odpowiedni język pilącemu słownikowi nastrojów i potrzeb; mowa znaków, gestów i spojrzeń składa się na język ogólnoludzki, uniwersalnie zrozumiały. Sen jest wyrazem wewnętrznego schematu życia, seks jego zewnętrzną manifestacją. We śnie istniałem dla samego siebie; uprawiając seks, dla innych. Jeśli chciałem spać, sen nachodził mnie, jeśli chciałem seksu, to ja nachodziłem innych. Nie uważałem, żeby zwrot „spać z kimś” był równoznaczny z uprawianiem seksu; sen i seks mają tylko tyle wspólnego, że jedno i drugie odbywa się w łóżku.

Amerykanka wróciła.

Dobrze porobiona zaczęła mi lizać szyję, potem zapytała, kim jestem i jak się tu znalazłem. Rzeźnik siedział w olbrzymim salonie i oglądał TV. Nie dziwi się. Te dzieciaki wpieprzają tylko żenione RC-ki, które przywożą w bagażnikach aut z Berlina. Spiknął się przez tindera z trzema dziewczynami z Hiszpanii, które miały tu niedługo wpaść. „Niedługo” w Londynie oznacza: do godziny,

dwóch. Co przez ten czas? Pomyślałem, że znajdę Amerykankę, która znowu gdzieś się ulotniła. Szedłem wielkimi korytarzami. Minąłem toaletę, która nawet biorąc pod uwagę całą tę sytuację, pozostawiała wiele do życzenia. Amerykanka leżała półprzymknięta pod klozetem, jedną ręką gapiąc się tępo w telefon, drugą trzymając wewnątrz spodni.

Jak zwykle przy okazji spędów, których nikt nie ochrania, pojawiają się nieproszeni goście. Jeden był dosyć dziwny. Właściwie wszyscy myśleli, że to po prostu zwykły debil, który uciekł od czubków i przylazł z ulicy. Chodził po pokojach, podbijał do ludzi i wpatrywał się w nich martwym wzrokiem. Jakby nie kapował, na co wybałusza oczy. Potem przytargał się do salonu. Leżeliśmy z Rzeźnikiem rozwaleni na sofach. Retard – nazwijmy go tak na potrzeby opowieści – wyciągnął ogromniasty nóż i zaczął demonstrować bardzo niebezpieczne sztuczki. Co cię kręci?, zapytał. Zatkąło mnie. Niby standardowe pytanie, które pada na imprezie w Londynie. No nie rozumiesz bałwanie? Co cię kręci, co cię podnieca? Od czego ci kutas staje?! Może miałem zamutę, ale w głowie nie mogłem pomieścić, że jakiś cymbał z gadzią twarzą i strupami na dłoniach zadaje mi tak osobiste pytanie. Że w ogóle śmie zadawać jakiegokolwiek pytania! Japonki, odrzekłem. Nieletnie Japonki. W jego oku pojawił się psychopatyczny, acz inteligentny błysk. Dobry wybór. Bardzo dobry. Wpatrywał się w nas, jakby się nad czymś zastanawiał. Sztuczki z nożem, które prezentował, były dosyć dziwaczne i nie przypominały niczego związanego z cyrkiem. Rzeźnik trochę oprzytomniał. Z pokoju obok leciał stary przebój.

Hey man, what's your style?

How you get your kicks for living?

Wstaliśmy i powoli ruszyliśmy korytarzami. Retard został w salonie, ale po chwili, gdy skręciliśmy na schody, zauważyłem, że podąża naszym śladem. Przed willą kłębiła się grupka młodzieży czekająca na black caby. Amerykanki wśród nich nie było. Zombie-Gang się ulotnił, dziewczyny z tindera też zniknęły z pamięci. Zapaliliśmy po skrócie. Patrzyliśmy na siebie. Dziwne, ale po krótkim spotkaniu z niepokojącym Retardem, gość, który na co dzień zarzyna wieprze, jawił mi się jako wyluzowany, godny zaufania facet. Szturchnąłem go w bok, gdy podjechała taksówka. Wśliznęliśmy się na tylne siedzenie, nim czekający pokapowali, o co chodzi. Taksówkarz zapytał o nazwiska. Kazaliśmy mu jechać przed siebie. Poczujęm czyjąś obecność.

Siedział z nami Retard.

Dźwięki, które wydawał, były niepokojące. Coś pomiędzy pomrukiem warczącego psa a zdeformowaną ludzką mową puszczaną z taśmy od końca. Za oknem przesuwali się obrazy miasta. Między nami panowało milczenie. Grało radio.



Michał Będkowski, *Figures*

Hey man, what's your style?
How you get your kicks for living?

Zdałem sobie sprawę, że nie powiedzieliśmy kierowcy, dokąd jedziemy. Rzuciliśmy tylko Jedź pan!, on też zdawał się tym nie interesować. Minęliśmy Victoria Station, Westminster, szpital św. Tomasza. Byliśmy po południowej stronie Tamizy. Taksówkarz trzymał się Old Kent Road. Nie znałem dobrze tej części. Północ, zachód, The City, a dalej trochę okolice Shoreditch, Hoxton – tak, ale nigdy nie zapuszczałem się poniżej Southbank i Waterloo. Skręciliśmy gdzieś. Byliśmy już chyba na Lewisham, a to już dla mnie kompletna tajemnica. Było między drugą a trzecią nad ranem. Retard machnął kierowcy, ten zatrzymał się i wziął od niego kilka banknotów. Wyszliśmy zahipnotyzowani.

Retard zrobił jakiś koślawy gest ręką i nakazał nam iść za sobą. Gdzie i dokąd? Do wieży jakiegoś kościoła gdzie był dzwonnikiem? Wcale bym się nie zdziwił, gdyby mieszkał w trumnie na cmentarzu.

Szliśmy między typowymi dla Londynu jednorodzinnymi domkami poprzecinanymi osiedlami z lat sześćdziesiątych. Ani z przodu, ani z tyłu, ani po bokach nic nie wyglądało znajomo. Nasz samozwańczy przewodnik czasem burczał i warczał pod nosem, staniając się lub przemykając pod ścianami domów, kiedy słyszał kroki w pobliżu. O tej porze nikt nie poruszał się już pieszo, lokalne puby były zamknięte, ludzie wybierali nocne autobusy lub metro, ewentualnie taksówki.

Nagle Retard zawahał się. Kazał nam się zatrzymać. Schowaliśmy się za rogiem.

Za rogu wynurzył się grubas, tak ciężko powtórzący nogami, że ledwo pchał przed siebie swój wielki bebecz. Retard obejrzał się na nas. Grubas stanął z Retardem oko w oko. Nie potrafię opisać przerażenia, które wymalowało się na twarzy tego spaślaka. Retard trzasnął raz i dwa. Maczetą. To były sekundy. Szybkie cięcia. Rzeźnika, zamurowało ze strachu i podniecenia. Czułem, że chce się wycofać. Rozejrzał się wte i wewte. Ej, spierdalamy, wyszeptał, ale nie wiem, czy to powiedział, czy działo się to tylko w mojej głowie. Nie ruszysz się z miejsca, kiedy widzisz krwawy drift na własne oczy. Nie zadzwonisz po żadną pierdoloną policję ani ambulans. Telefony tajemniczo się rozładowują, sieci komórkowe przestają działać. Nie ma żywego ducha w pobliżu.

Jest tylko cięte mięso.

Rzeźnik doskonale o tym wiedział. Robił to nie jeden raz.

Ale nie na człowieku.

Poczułem smutek.

Spojrzałem na rzeźącego Rzeźnika i zdychającego grubasa. Potrząsnął głową w ostatnich przedśmiertnych konwulsjach, skóra na jego tułowiu pękła, flaki trysnęły na wszystkie strony świata.

Tekst jest napisany techniką samplingu, plunder/story, oznacza to, że został złożony z kilkunastu tekstów już istniejących.

Ilustracje: Michał Będkowski

<https://www.instagram.com/michalbedkowski/>

Maciej Milach

Jest li jezyk medžuslovjansky humanističny?

Privyklo se mysliti, že to grečsky jezyk jest jezyk humanizma. Zato, že grečsky filozofi tvorili osnovu humanizma i my uživamo mnogo sloves, ktore imajut korenj grečsky. Toliko, dnes na staro grečskym humanisti ne govoret. Jednakože jestvuje jedin, umětny jezyk, ktory jest mnogo humanističny. Jest to jezyk medžuslovjansky, ktory jest razumlivy vsim slovjanom bez učenja. Glavny princip shranjeny pri tvorjenju medžuslovjanskogo, to razumlivost. Odvratno než mnogo osoblivyh jezykov raznyh grup profesionalnyh, ktore sut razumlive toliko dlja představitelji tyh skupin. Jezyk medžuslovjansky jest takože universalny, to znači zaključa universalne slovesa iz raznyh jezykov slovjanskyh.

Medžuslovjansky jest jezyk nevtralny, što dobro je bylo izkoristano v filmu Kolorovana Ptica, češskogo režisera Václava Marhoula (na osnovu knigy Džordža Kosinskogo). Režiser hotěl, da by člověk ogledajuči (pogledatelj), ne věděł iz kakoj državy proizhodedet personaže, ktore dopuščajut se v filmu okrutnosti. Zato postanovil, da by aktori govorili na medžuslovjanskom jezyku. Da by ne možno bylo razpoznati i ocěniti jih děl (činov) po jih městu rodženja. Jest to mnogo humanističny podhod.

Druga humanistična čěnnost – medžuslovjansky jest iztvor surabotničstva, sutrudničstva. Na početku je bylo dvoh osnovatelji – Čeh (Vojteh Merunka) i holandsky slavist (Jan van Stannbergen). Oni stvorili dva jezykoprojekty, ktore je byli mnogo podobni. Kogda oni se dověděli o sobě, osvědomili podobnost, nastupno sjedinili dva umětne jezyky v jedin projekt Medžuslovjansky. Posle, dalši razvoj jezyka byl i jest dalje možlivy blagodare surabotničstvu mnogyh ljudi iz raznyh slovjanskyh držav. Ljudi tvoret aplikacije, veb stranice, slovník on-line, přědkladajut nove slova, razgovarjajut nad podrobnostami gramatiki i tako dalje. Zato medžuslovjansky objavja humanističnogo duha slovjanskoj občiny.

Može li medžuslovjansky ulěpšiti svět?

Očěvidno, trěba tu označiti, ne cěly svět, a izključno naš slovjansky prostor.

Kako jesmo přědtym pokazali, medžuslovjansky to zaisto je jezyk humanističny.

Zato, po mojemu skromnomu mněnju vzajemno razuměnje jest dobry načetok mnogo drugyh čěnnostij.



Ako li (kako Slovjan i z raznih držav) možemo se lepše dogovoriti, budemo do sebe više tolerantni. Mnogo netrpivosti proizhoditi iz toga, že ljudi se vzajemno ne znajut.

Blagodare znanja medžuslovjanskogo možno čitati razne novosti, izveštje (na priměr v internetu) iz drugih slovjanskih držav. Razširjati svoje znanje inih slovjan, jih problemov i přednostij.

Medžuslovjansky ako naučna sinteza najviše razumlivih sloves iz vsih sučasnyh slovjanskih jezikov, a takože starocrkovnoslovjanskogo, istinno približaje nas do izobraženja praslovjanskogo. Zato vědnost medžuslovjanskogo umožnja lepše znanje svojego rodnogo jezika, ibo vsi slovjanske jeziki proizhodet iz jednogospolnogo jezika.

Jest to zaisto věč divna, že do poznanja svojih najbližih susědov trěba studiovati Filologija Slovjanska (slavistika). Nadějam se, že v budućnosti, hvala širjenju se i učenju medžuslovjanskogo jezika, vse bolje ljudi budut stavati se prirodnyimi Slavistami, humanistami, abo prosto lepšimi ljudami.

Wymowa:

Č- cz

Š- sz

Ž- rz

Ě- IE

Czy język międzysłowiański jest nowym językiem humanizmu?

Przywykło się myśleć, że to język grecki jest językiem humanizmu. Ponieważ greccy filozofowie tworzyli zręby humanizmu i my używamy wielu słów, które mają grecki korzeń. Tylko że dziś po starogrecku humaniści już nie mówią. Jednakże istnieje jeden, sztuczny język, który jest bardzo humanistyczny. Jest to język międzysłowiański, który jest zrozumiały dla wszystkich Słowian bez nauki.

Główna zasada zachowana przy tworzeniu międzysłowiańskiego to zrozumiałość. Odwrotnie niż języki wielu grup profesjonalnych, które są zrozumiałe tylko dla przedstawicieli tych grup. Język międzysłowiański jest także uniwersalny, ponieważ zawiera uniwersalne słowa z różnych języków słowiańskich.

Międzysłowiański jest językiem neutralnym, co zostało wykorzystane w filmie *Malowany Ptak* czeskiego reżysera Václava Marhoul (na podstawie książki Jerzego Kosińskiego). Reżyser chciał, żeby oglądający nie wiedział, z jakiej krajiny pochodzą postaci, które dopuszczają się okrucieństw w filmie. Dlatego zdecydował się, żeby cała obsada używała języka międzysłowiańskiego. Tak, żeby nie można było rozpoznać i ocenić ich czynów po miejscu urodzenia. Jest to bardzo humanistyczne podejście.

Inna humanistyczna wartość międzysłowiańskiego wyraża się w fakcie, że jest on wytworem współpracy. Na początku było dwóch jego twórców – Czech (Vojtěch Merunka) i holenderski sławista Jan Van Stannbergen. Stworzyli dwa niezależne projekty językowe, które były bardzo podobne. Kiedy się o sobie dowiedzieli, uświadomili sobie podobieństwo, połączyli dwa sztuczne języki w jeden – międzysłowiański. Potem dalszy rozwój języka był (i jest) możliwy dzięki współpracy wielu ludzi z różnych krajów słowiańskich. Ludzie stworzyli aplikację na telefon, strony internetowe, słownik on-line, przekładają nowe słowa, dyskutują nad detalami gramatyki i tak dalej. Dlatego międzysłowiański przejawia humanistycznego ducha słowiańskiej wspólnoty.

Czy międzysłowiański może zmienić świat?

Oczywiście, ale trzeba tu zaznaczyć, że nie cały świat, a jedynie naszą słowiańską przestrzeń. Moim skromnym zdaniem wzajemne zrozumienie jest początkiem innych wartości. Jeśli (jako Słowianie z różnych państw) możemy lepiej się dogadywać, będziemy dla siebie bardziej tolerancyjni. Wiele nietolerancji bierze się z tego, że ludzie się wzajemnie nie znają. Dzięki znajomości międzysłowiańskiego można np. czytać wiadomości (na przykład w internecie) w innych językach słowiańskich i rozszerzać swoją wiedzę o kulturze wschodnich i południowych sąsiadów.

Międzysłowiański jako naukowa synteza najbardziej zrozumiałych słów ze wszystkich współczesnych języków słowiańskich, a także staro-cerkiewno-słowiańskiego, prawdziwie zbliża nas do wyobrażenia języka prastłowiańskiego. Dlatego znajomość „Ms” umożliwia lepsze posługiwanie się swoim narodowym językiem, bo przecież wszystkie słowiańskie języki pochodzą z prastłowiańskiego.

Jest to zaiste rzecz dziwna, że do poznania swoich najbliższych sąsiadów trzeba studiować sławistykę. Mam nadzieję, że w przyszłości, dzięki popularyzacji i nauce języka międzysłowiańskiego, coraz więcej ludzi będzie stawać się naturalnymi sławistami, humanistami – albo po prostu lepszymi ludźmi.

Ewa Jarocka

spotkałam siebie we śnie

byłam pod ziemią, bo na ziemi nie śniłabym takich głupot. wyzywałam się od kretynek, dobrze, że nie od kurew. był taki jeden, ordynarny względem mnie. szczególnie gdy umierała babcia. też miała na pierwsze kurwa. jego zdaniem wszystkie kobiety są kurwami i tylko śnią, że nie są. dlatego spotkałam siebie dopiero we śnie.

pierwszy raz nazwałam tam siebie kretynką, nie kurwą czy suką. kogo takiej złej kobiety nigdy nawet nie stałam, ale gdy nie spałam, byłam nią, tato?! pytam ojca, a on milczy. może sam czuje, że daje innym zbyt wiele i nie ma snów, w których spotyka siebie. i nie spotka siebie nawet pod ziemią. on nie będzie pod ziemią spał, rozszarpia go tam te jego wszystkie kurwy.

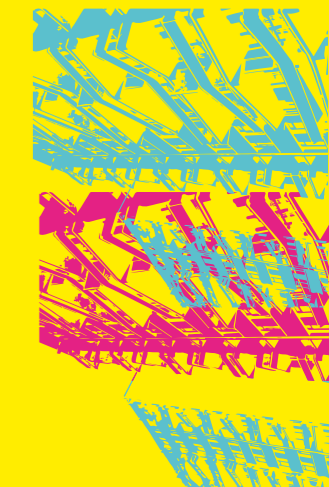
jest takie miasto, w którym regularnie śnię o kurwach. jeżdżę tam i kiedy idę spać, wiem, że obudzę się w środku nocy, by zdrapywać je z siebie. są białe na czerwonym tle. gdy udaje mi się przeżyć, wracam do domu i opowiadam, jak to było, że nie było słońca ani dnia, tylko paznokcie robiły robotę za trzech. choć raz zobaczyłem światło. paliło się po drugiej stronie ulicy, ktoś nie mógł spać, zdrapywał z siebie kurwę. też był w tym mieście na W. rano niczego nie pamiętałem, ale poszedłem przed siebie i znalazłem na ulicy tę jego białą szmatę. była podobna do mojej córki.

Wiersz pochodzi z tomu Zapalmy moją krew,
Wydawnictwo Kwadratura, 2022.

na wAkaCje powtórk! λecom
ecom ecom om om om

KOJAK

Dominik Pędziwoł, Popwtórk! 2014/2024





Odbicie
Kwiecień
2023
Czerniawska

Lena Czerniawska, *Odbicie*, z cyklu *Lęk*



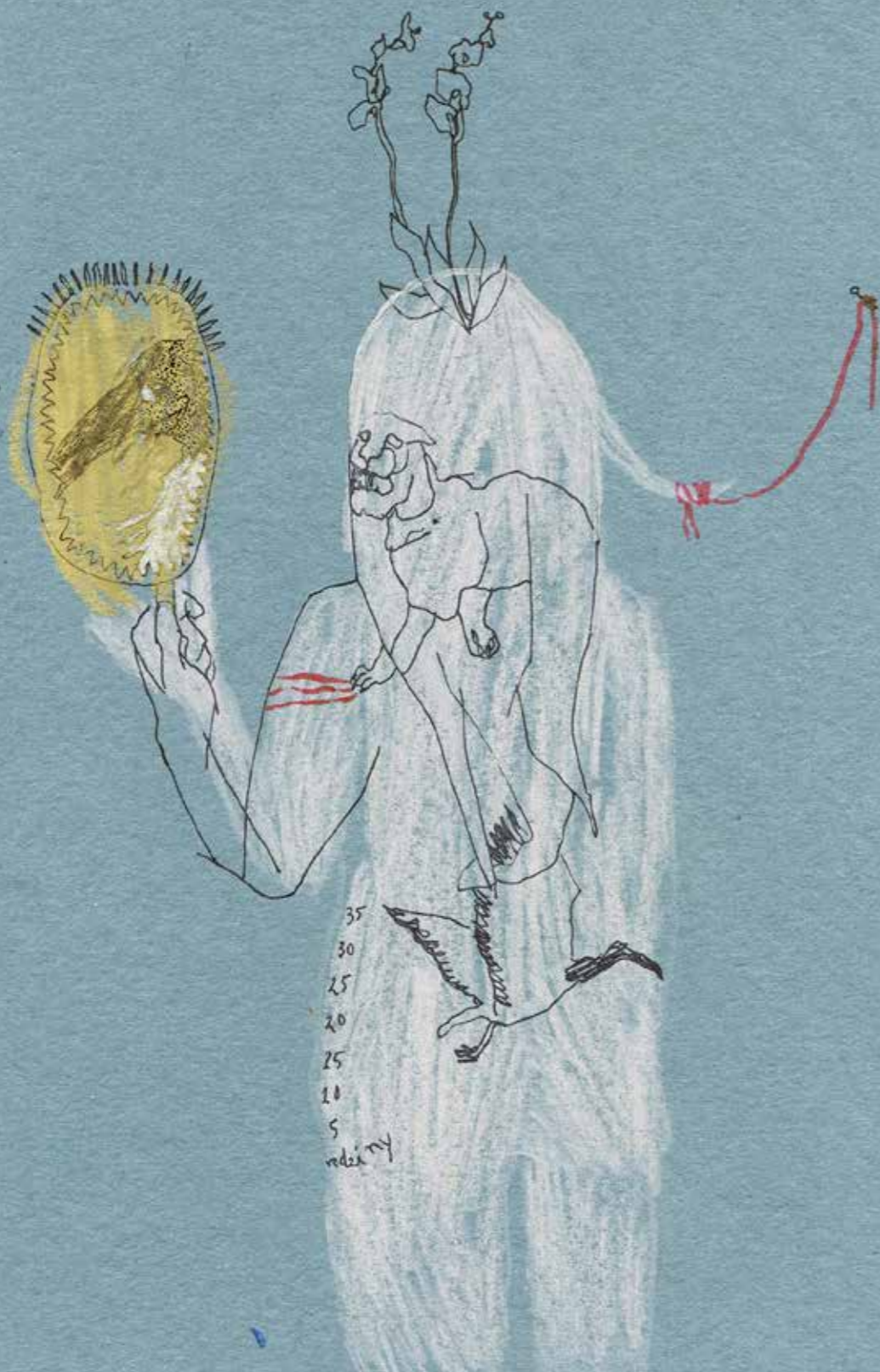
Obłęd II
Wiosna/Lato
IV/2023

Czerniawska

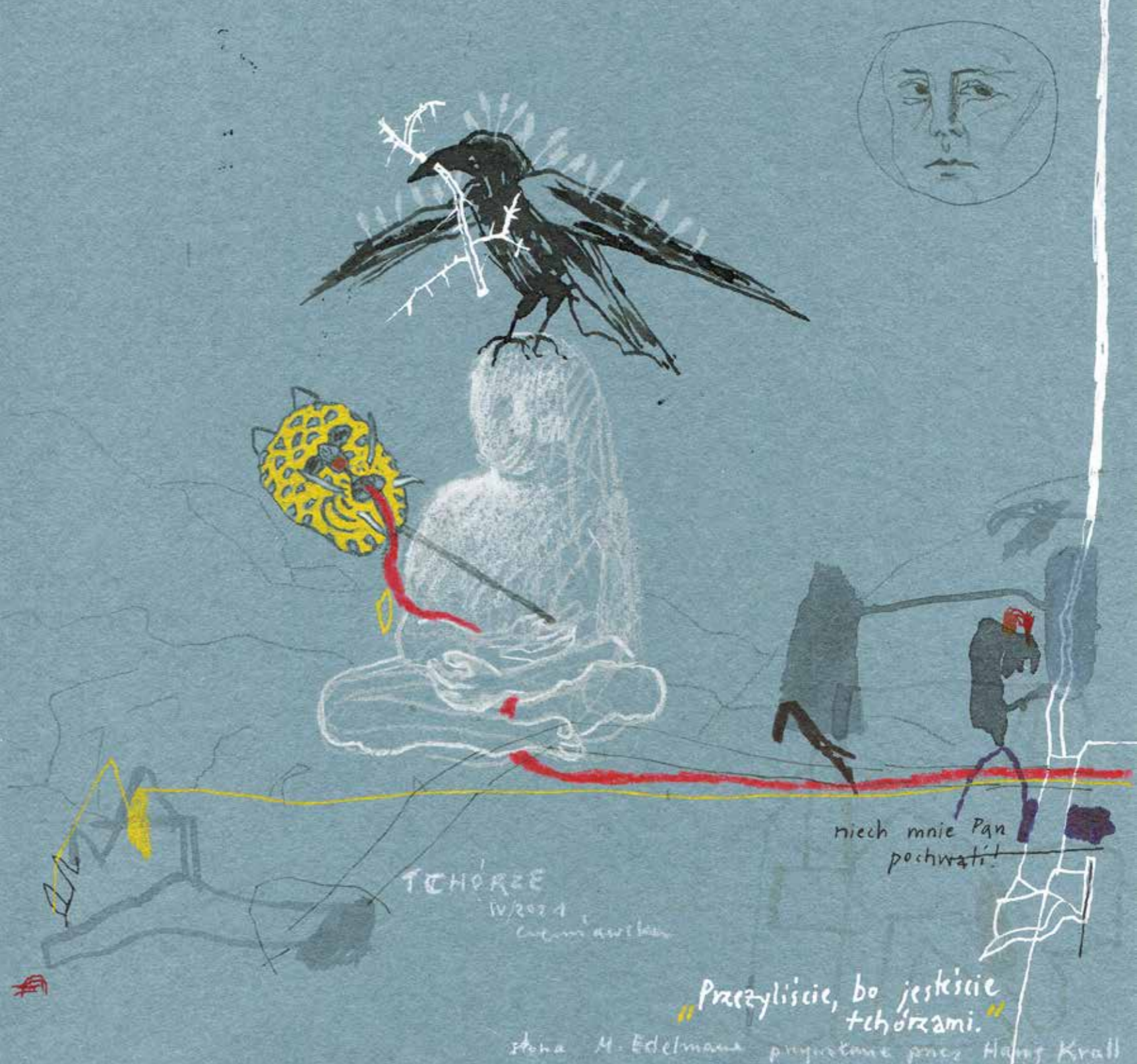
Lena Czerniawska, *Obłęd II*, z cyklu *Lęk*

MAM DZIŚ SIĘ APETYT ZŁODZIETA

Takoi przetrwalimy tę zimą
w apatycznym zaurzaniu.
Szpaki i wróble wywieszają się
z niewielkich naktę miasta.
Niepoznają się. Nic ciągłości
wysunęła mi się z dłoni.



Lena Czerniawska, Złodziej, z cyklu Lęk



Lena Czerniawska, Tchórz, z cyklu Lęk

Rafał Kwiatkowski

Brutte caffì

12, 50 wtorek, Azerbejdżan.

Rzut sztucznym bananem w oko kierasa, sztuczny księżyc zbliża się do Ziemi.

18, 05 środa, Bali.

Ładunek wybuchowy w autobusie pracowniczym, który parkuje przy fabryce swetrów.

21, 18 czwartek, Cejlon.

Herbata z cyjankiem podana właścicielowi odlewni, który łązi z głową w dupie.

11, 09 piątek, Dania.

Agencja Hamlet, pracownik ochrony w stróżówce podciąga spodnie.

13, 45 sobota, Erytrea.

Niewzruszona reklama podpasek, pogotowie przejeżdża obok na sygnale.

17, 05 niedziela, Finlandia.

Burżuj na pływającym kłocie, wypalone jelito grube, nie było sensu tracić hajsu na trufle.

20, 02 poniedziałek, Grenada.

Robotnik sezonowy załapał się na promocję imadeł na jaja.

14, 00 wtorek, Holandia.

Typ w gajerze twierdzi, że nic nie czyni człowieka wrażliwszym niż skąpstwo i chęć zysku.

16, 12 środa, Indonezja.

Dzień ludowego święta lodu w uchu, wzrasta popularność sztucznych lodowisk zamiast basenów.

19, 34 czwartek, Jordania.

Transgresja, robotnicy uduszeni skarpetami ojców.

12, 52 piątek, Katar.

Stek bzdur wypadł z reklamówki na placu Wolności.

21, 23 sobota, Litwa.

Miłosz forever na zawsze.

23, 34 niedziela, Łotwa.

Akefal zakłada pierwszy akefaliczny obóz przetrwania.

17, 46 poniedziałek, Malawi.

Więzień polityczny masturbuje się przeglądając 100 nabozi Azarello/Risso.

24, 00 wtorek, Nepal.

Syntetyczne zakończenie pewnego równania.

19, 08 środa, Oman.

Milczenie owiec, liczenie chomików.

12, 00 czwartek, Panama.

Orgiastyczne praktyki łączenia definiendum z definiensem.

16,35 piątek, Rosja.

Ktoś nie wyszedł i nie wrócił.

21, 52 sobota, Salwador.

Palec wskazujący na czarny kwadrat, definicja ostensywna, pa.

23, 21 niedziela, Tonga.

Za oknem skok ilościowy jasności.

18,46 poniedziałek, USA.

Zaburzenie work-life balance.

11, 50 wtorek, Watykan.

Kluby BDSM, zwiększanie asortymentu oferowanego przez patusiarnię sokratejską.

00, 00 środa, Yx.

Nic.

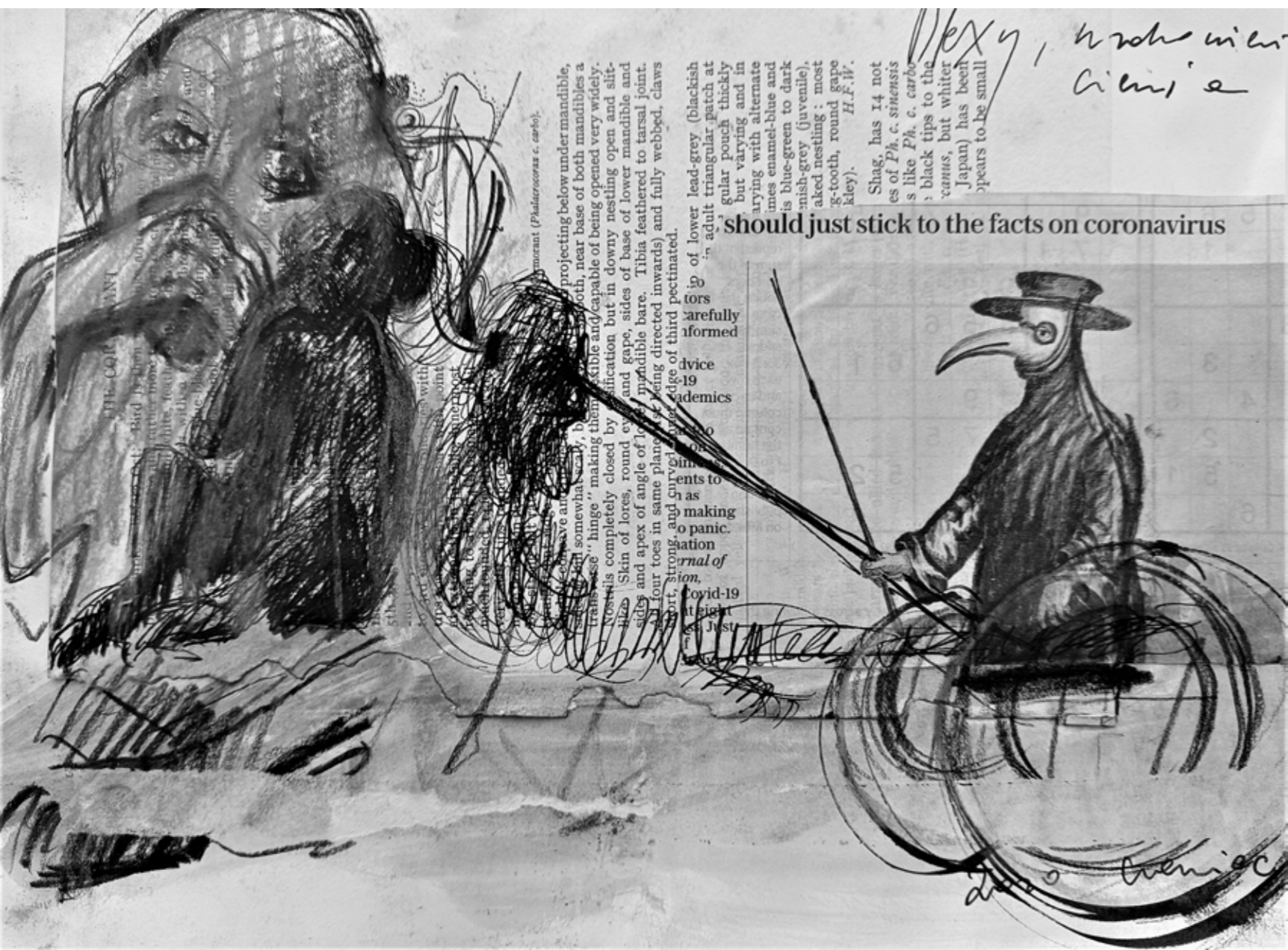
1, 23 czwartek, Zambia.

Wsadź se heideggeryzmy bro, wellbeing wydymało dasein.

2, 32 piątek, Żlinice.
Spacer, czyli sprężynka.

23, 12 sobota, Żerniki.
Akatalepsia i tyle.

NIEDZIELA ŻYCIA.



Ewa Jarocka

zamiast okularów

założyłam na nos filtr z dzieciństwa,
widzę więc świat, który przypomina
katoland. znów mam komunię, znów
mam bierzmowanie i znów maca mnie
biskup. panie biskupie, a ty nie masz
żadnej baby? masz babę, stoi w kościele
w pierwszym rzędzie, jest w twoim wieku,
wyczekuje momentu, kiedy się znudzisz
czochraniem bachorów i ich dup. może
sama ci poczochna dupę, gdy ja weźmiesz
na zakrystię? a może nie da ci dupy, tylko
dużo kasy, żebyś mógł odjechać z miasta
wypasioną furą z salonu. albo od razu
helikopterem. lepiej, latającą świątynią!
z takimi witrażami, że żadne filtry tego
nie wygenerują. będziesz miał z nią syna,
takiego samego jak ten, któremu dałeś
do potknięcia hostię. ale nie takiego,
który wypluł ją za winklem, takiego,
który potknął ją razem ze spermą.

← Małgorzata Skałbania, Mexy, technika mieszana, 28 x 20 cm

na następnych stronach:
Małgorzata Skałbania, *Église Notre-Dame de Versailles*,
suchy pastel 50 x 70 cm. XI 2022

Małgorzata Skałbania, *L'École-Saint-Nicolas, Igny, Essonne, Francja*, suchy pastel 50 x 70 cm. XI 2022



swojskie chłopaki

boję się filipka i mateuszka,
mają po pięć lat i rzucają kamieniami
w moje okna. gdy dorosną, wtamią się
do mojego mieszkania. mateusz
mnie zgwałci, a filip będzie patrzył
na rozbitą szybę. potną mnie szkłem,
bo kiedyś poczęstowałam ich czekoladą.
tata mateuszka wkurzył się wtedy,
przyszedł i rzekł: nie wolno pani.
a chłopcy patrzyli.

ganiają dziś po podwórku,
bawią się w berka. jeden ma kolegę,
którego sobie uroił, więc jest ich trzech.
kiedyś z tego wyrośnie, ale potem,
gdy mnie zgwałcą i policja
rozpocznie śledztwo, powiedzą,
że to on jest sprawcą. wszystko
kamilek, który ma pięć lat.
gliny to tykną i jeszcze ja
pójdę siedzieć.

świat nie pozna prawdy.



Aleksandra Winnicka, *Guwernantka Jokera*, 100 x 70 cm, olej na płótnie

Mariusz Sambor

czas

Nie potrafił wtedy niczego zrobić. Czekał. Wtedy? No dobrze, niech będzie, że wtedy. Wtedy to jedno wychodziło najlepiej. Czekanie. Zwykle w tym samym stosownym miejscu. Próbował imać się w ciągu dnia różnych zajęć. Zwykle udawało się wytrwać przez chwilę. Dłuższą lub krótszą, ale szczerze, trzeba to było nazwać chwilą. A kiedy słońce znajdowało się w takim punkcie, że okolicę ogarniało żółtopomarańczowe i pomarańczowożółte, łagodzące wszelkie załamania terenu, światło, wtedy już nie potrafił niczego innego zrobić. Poza czekaniem, ale to przecież też robota. I wcale nie taka lekka, jak by się tak postawić na jego miejscu, włożyć jego kamasze, jak to mówią, to be in his shoes. Jedyne, co jeszcze był w stanie, to podnieść wcale nieciężki tytek, ruszyć dwa, słownie dwa kroki i zaciągnąć rolety. Nigdzie indziej nie był już nawet, nigdzie indziej zaciągnąć się w tych swoich niby jego bucikach. Nic więcej – zepchnąć stolik, odsunąć go przed siebie i wstać. Odsunąć fotel za siebie. Podnieść wcale nieciężki kościsty tytek, a wstając, jeszcze na ugiętych z wysiłku nogach, zrobić te dwa, słownie najwyżej dwa, kroki. Jeden, powoli. Drugi, nie inaczej, ale te dwa to przecież, wiadomo, tylko w jedną stronę. A potem jeszcze należało dostrzec, że światło z łagodnie żółtopomarańczowego przeszło w stalowoniebieskie, a w zasadzie w szare, no to podnieść chude, patykowate ręce do góry i złapać najpierw za jeden, a później, już zaraz, za momencik, za drugi plastikowy łańcuszek i zaciągnąć rolety.

Nie ruszając z miejsca, mógł, i w końcu dosięgnął biały włącznik światła. Z trudem przesunął przycisk i znowu wszystko wokół było żółtopomarańczowe, pomarańczowożółte jak jeszcze niedawno, ale tego światła nie dało się już zastąpić, i nawet jakoś dziwnie chciało się go nadal. W końcu jakby miał, na co czekał, ale przecież jednak nie. Nie, to nie było to. Nie czekał na światło. A później jeszcze tylko jeden, no, czasem jeden długi, ale zwykle to były dwa krótkie kroki i nieciężkie siedzenie można było znowu złożyć na twarde fotel. Nawet nie tyle mógł, ile musiał. Bez wyjścia. Opadał ciężko nieciężkim na siedzisko fotela, z powrotem przyciągał stolik, ten sam, który odsuwał od siebie ze wstrętem, zmuszając się przed chwilą do wstania i mógł się wreszcie zająć tym, co lubił.

Nie, nie tym, co lubił. Tym, co umiał najlepiej.

Nie lubił tego zajęcia, jak kiedyś pracy zawodowej, ale to nie miało z tamtą dawną nic wspólnego. I tak nie potrafił przecież już teraz niczego innego zrobić. No, może poza oczekiwaniem. Ale to jednak nie było to samo.

Na pewno nie to samo. Co innego znaczyło oczekiwać, a co innego czekać.

To drugie było jak tęskne *O bella ciao* w portowej knajpie gdzieś w Ligurii.

W Ligurii? Kiedy to było? Musiał się przez dłuższą chwilę zastanowić, ale że przez chwilę zajmował się oczekiwaniem, a nie czekaniem, mógł te właśnie chwile nowemu zajęciu poświęcić. Szczególnie poświęcić. Tak, może to i było w Ligurii, a może na Kleparzu. Nie, moment, chwilunia, chyba jednak na Bronxie. Tak, tam, na Bronowicach, ostatni raz śpiewali zgodnym chórem *O partigiano, portami via*, ale teraz nie było tutaj już nikogo innego poza nim samym, to wiadomo, że i żaden partyzant nie mógł go zabrać. Podobno, jak mówili inni, *Partisanen* to najzwyczajniej *Banditen*. A może jednak nie? Żaden partyzant nie mógł go zabrać, w każdym razie ani stąd, ani nigdzie indziej, nawet daleko. *Ancora via*. Tak, wciąż było daleko, ale i tak przecież nie potrafił niczego innego zrobić. Nie potrafił i nie mógł. Nie oczekiwał. Zwyczajnie, tylko czekał. To jedno wychodziło mu najlepiej. Czekanie. Przynajmniej wtedy coś się działo.

Tyle się już w życiu naczekał, że chyba weszło mu w to krew, krew czerwona, nie żadną błękitną. Nie aspirował. Nie miał zamiaru. Nie fascynował się klasizmem. Na to był już raczej, jak to się eufemistycznie mówiło, zbyt stary. No, może można byłoby to lepiej wyrazić. Ale jak? *Wiekowy*? Nie, tak to akurat się nie czuło, nawet kiedy słuchał. Zwłaszcza kiedy słuchał. Szczególnie kiedy słuchał młodzieży, przeważnie zaangażowanej, ale teraz raczej tylko taką znał. Teraz? Nie, nie teraz, kiedyś. Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie, ważniejsze zajęcia. Teraz nie spotykał się nie tylko z młodzieżą, ale w ogóle się nie spotykał. Nie miał czasu, nie mógł po prostu. Tak, ostatnio zwykle był zajęty. Już zrezygnował. Skoncentrował się jedynie a tym, co go tak pochłaniało w całości. Fakt, wcześniej jeszcze próbował imać się w ciągu dnia różnych zajęć, ale teraz właściwie dał już sobie spokój. Cekał. To jedno wychodziło mu najlepiej. I chociaż nie była to łatwa i lekka robota, chyba w końcu powoli się przyzwyczaił. Może w końcu dojrzał? Tak, mógł się wreszcie zająć tym, co umiał najlepiej, choć nie miało to nic wspólnego z pracą zawodową. Czasem tylko koncentrował się na okolicy, poza swoim głównym zajęciem, rzecz jasna. Tworzył w głowie mapę własnych rozdrażnień w skali jeden do jeden i wyobrażał ją sobie na siatce Merkatora. Tak, dokładnie na walcowej siatce odwzorowania kuli, a w jego przypadku na wycinku kuli, a w zasadzie mikro, mikro wycinku, zawieszzonego dziesięć metrów nad powierzchnią miejscowego gruntu na fundamentach i ścianach wysokiego bloku z betonu. Pomimo że jego fragment ciągnął się od biurka przy oknie aż do okna przy łóżku w drugim pokoju, zwracał uwagę na odległości między liniami poziomymi odwzorowania

kartograficznego i pomyślał, że na szczęście dla wszystkich, tak, na szczęście dla wszystkich – jego własna ścieżka nie jest wcale wydeptana, a szczególnie na mapie, gdzie nie jest to takie łatwe. Gdzie, jak gdzie, ale w tym szczególnym przypadku, nie tyle kroki, ślady jego bosych stóp, choć on sam ich nie zauważał, ile wszystkie jego wątpliwości rzutowane były – w tym konkretnym przypadku – z powierzchni kuli, wprost na powierzchnię walca stycznego do kuli. I chociaż z powodu zajęcia, które go tak pochłaniało, nie miał wiele czasu na przemyślenia, konstatawał, zalety owego rozwiązania – stosunkowo łatwy pomiar odległości – przedstawienie loksodromy jako linii prostej, oraz, co ważne, małe zniekształcenia przy przedstawianiu niewielkich obszarów.

Jego własny obszar był dokładnie taki – niewielki. Co tam niewielki, nieduży byłoby już niemal peryfrazą. Był po prostu mikroskopijny w skali całości i nie miał przy tym na myśli wszystkich swoich wątpliwości, jedynie te, którym oddawał się, starając się wykonywać sumiennie wszystkie swoje obowiązki i co jakiś czas, wcale nie rzadko, a czasem wcale nie często, przy czym nie zależało to od niczego innego, tylko od jego nastroju, a w zasadzie nastroju danej chwili, gdy mógł i chciał podnieść swój nieciężki tyłek, ruszyć z miejsca i pokonać, jak kiedyś to wymierzył dokładnie, a później jeszcze raz i kolejny, aby przez wszystkie dokonane pomiary, zweryfikować poprawność i ruszyć w końcu i przejść na pewno trasę swoich siedemnastu kroków na własnej mapie, pokazującej całość drogi.

Całość? Nie, siedemnaście kroków to była najwyżej połowa. Taki był wynik pomiarów. Dokładnie siedemnaście średniej długości kroków mężczyzny w średnim wieku na niezbyt długiej trasie od biurka przy oknie, aż do okna przy łóżku w drugim pokoju. A kiedy pokonał ją w jedną stronę, zatrzymał się na dłuższą chwilę przed wyruszeniem z powrotem. Dłuższa chwila oczekiwania powodowana była nieodpartą myślą, że poza nim nie było tutaj nikogo, nikogo innego poza nim samym i wtedy właśnie doszedł do wniosku, wtedy wiadome mu już było, że żaden partyzant, nie żaden bandyta, w każdym razie nie żaden partyzant nie mógł go stąd zabrać, jak to było w pieśni nie bardzo bojowej, ale bojowo brzmiącej i zarazem nostalgicznej, tej samej, którą ostatni raz śpiewali na Bronxie zgodnym chórem, akcentując szczególnie ten jeden szczególny wers – *O partigiano, portami via*.

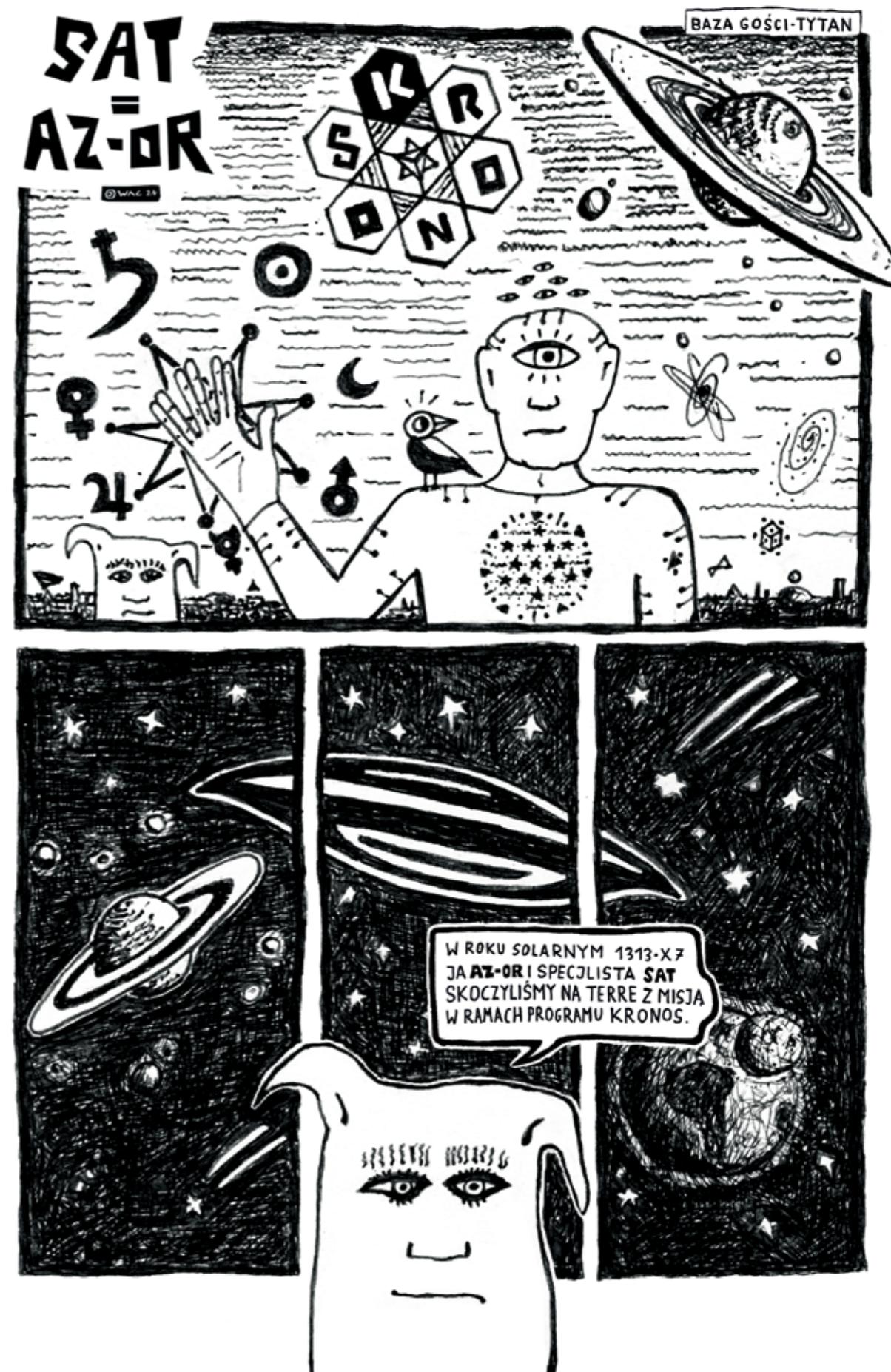
Tak, czekanie to też robota. I wcale nie taka lekka, jakby to się zdawało. Gdyby ktoś go teraz obserwował, pewnie zadałby sobie, a może nawet jemu, pytanie, na cóż tak czeka. Jednak na odpowiedź nie mógłby i nie powinien był liczyć. Obserwowany był bowiem milczkiem, niewypowiadającym z siebie ani słowa w trakcie obserwacji, a jedyne dźwięki, które wydawał, były typowo gankowymi jak mimowolne cmokanie, syczenie przez zęby, wzdychanie, pociąganie nosem, nie mówiąc już o innych efektach dźwiękowych jak pstrykanie

palcami, u rąk i u nóg, pocieranie jednej bosej stopy o drugą czy odgłos drapania się tu i ówdzie. Zwłaszcza ówdzie. Szczególnie ówdzie! Należy przy tym pamiętać, że wszystko to odbywało się w warunkach pewnego, ale jednak, wysiłku, jakim było czekanie, w przeciwieństwie do wspomnianego już uprzednio oczekiwania.

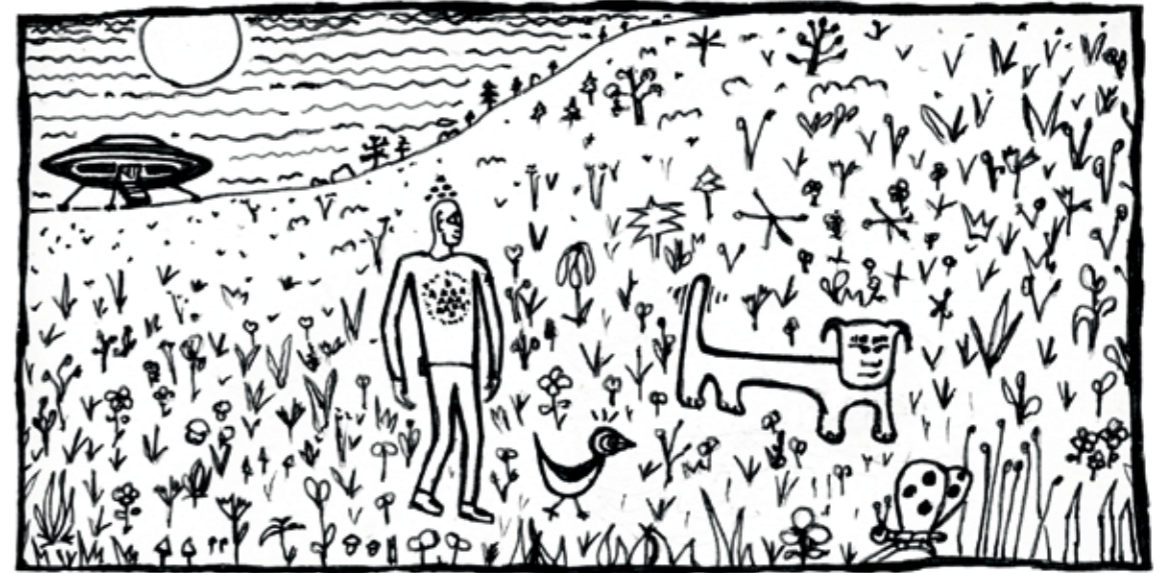
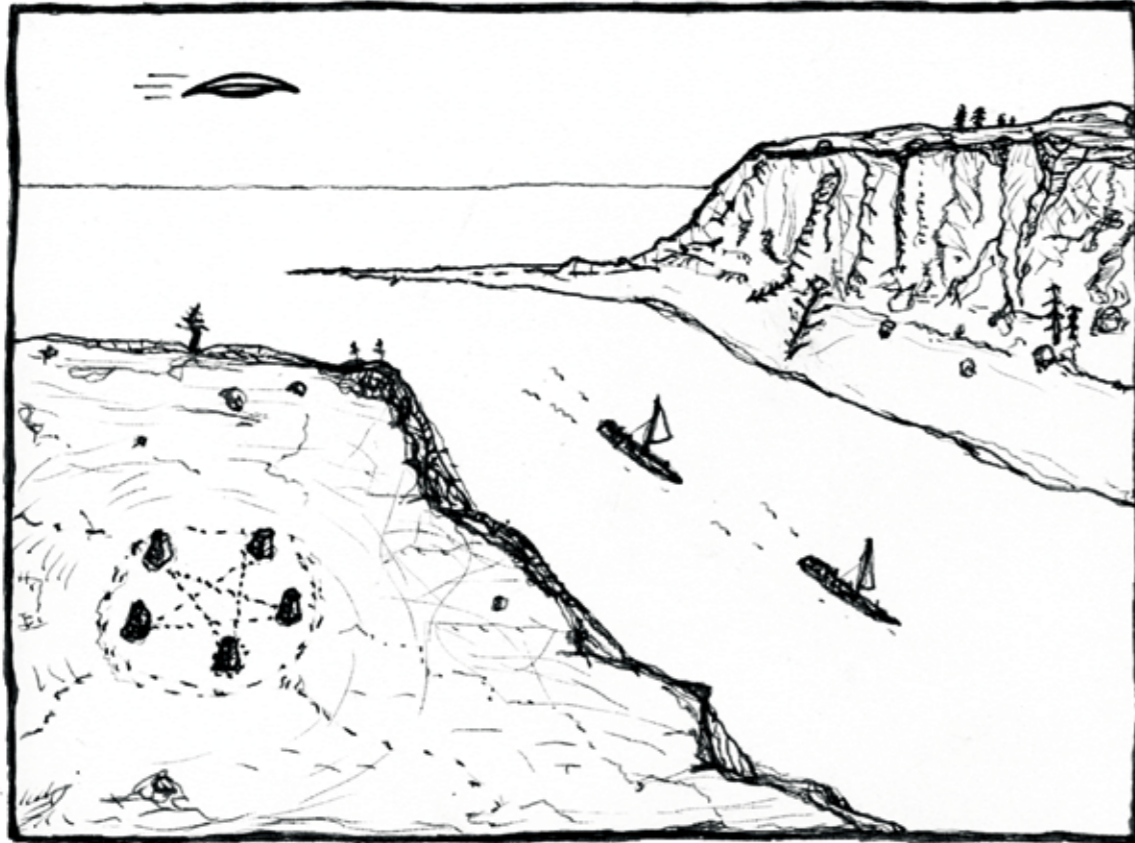
I na cóż tak czekał człowiek o kościstym siedzeniu i chudych, patykowatych rękach, nie sposób byłoby się dowiedzieć z samej obserwacji. Tak właśnie sam pomyślał przed chwilą. Tak, jak mogłaby wyglądać sytuacja, gdyby jednak ktoś tu się znalazł. Nie, nie żaden partyzant bezimienny z antyfaszystowskiej włoskiej partyzantki, ani nawet żaden tam z innej opcji. Zresztą ktokolwiek by tu był, i tak nic by się od niego nie dowiedziało. Szczególnie w tej właśnie materii.

Ktokolwiek? Tu jednak nie był już tak pewny, choć nie wchodziło w grę pejoratywne znaczenie słowa ktokolwiek, nacechowanego, co trudno było przecie ukryć, jak gdyby po-tocznym lekceważeniem. Nie, on nie wartościował. Jedyne zastanawiał się, czy dopuściłby, aby jednak ktoś. Może po części było to i związane z czekaniem, z tym, co ostatnio wycho-dziło mu najlepiej, zwykle w tym samym, stosownie dobranym do wykonywanej czynności, miejscu. Może więc jednak ktoś. Jako że sam milczał, wykonywał z przyjemnością w milczeniu to, czym ostatnio się zajmował. Tak, głównie w milczeniu. Czasami jedynie przy akompaniamencie włoskich, ale raczej już nie partyzanckich, tylko ulicznych tęsknych piosenek.

Fragment powieści Roboty.



Wacław Mejbbaum, Sat i Az-Or – Kronos



Roman Bromboszcz

Corpo Trash

Corpo rozpoczęło ofensywę, w której stawką stały się dzieci. W rozleniwiony sposób rozłożyło ośmiornicze macki, na końcach których miały się znaleźć miękkie istoty. Mówiąc wprost, trwał wyścig na drodze do superinteligencji i ostatnim pomysłem w tej walce stało się eksplorowanie tematu uploadu. Chodziło o pozyskiwanie młodych inteligencji do przerzucenia ich umysłów i dusz do pojemników z ciekłą wirtualnością. Zagadkowe może się wydawać to wydobywanie, ale los tych istot wydawał się przesądzony. Z jednej strony wgrywanie mentalnych zasobów, z drugiej strony odrzut, żeby nie powiedzieć: śmieć.

Biegłem przez miasto z zarzuconym na ramieniu plecakiem w kurtce lub bluzie, trzymając pod nimi moją córkę. Sytuacja zwracała na siebie uwagę. Ciężar nie był duży, ale dobrze przylegał do ciała. Niekiedy miałem wrażenie, że niosę kota. Najmłodszego z moich kotów. Wydawało mi się również, że niosę niemowlaka w chuście, tak jak się to czyni, gdzie są różne typy wiązania. Dziecko nie mogło mieć więcej niż kilka lat, inaczej raczej zmęczyłbym się okrutnie po paruset metrach. Właściwie to poruszałem się szybko, czasami krocząc, czasami sapiąc. Myśl jest szybsza od ręki. Truchtałem przez most, minąłem wpław płytką rzekę, ciągle tuląc ciepło spod moich warstw. Dotarłem do ulicy, którą świetnie znam z dzieciństwa. Tam od miejsca docelowego dzieliły mnie już metry. Pod blokiem spostrzegłem, że w mieszkaniu są moi stryjowie. Zdziwiło mnie to, bo po śmierci mojej matki mieszkanie zostało sprzedane jakiemuś inwestorowi, informatykowi lub muzealnikowi, kto wie. Widać ich było przez szyby. Stali na tarasie i rozmawiali.

Nagle dostałem wiadomość od kuzyna. Zawierała link, którego nie powinno się lekceważyć, ale jak to się mówi, nieznajomych linków nie otwieraj. Ja otworzyłem, jednocześnie wchodząc do mieszkania i witając się z rodziną. Mój aparat telefoniczny typu fold, dziwnym zbiegiem materii i energii zaczął ewoluować i stał się tabletem, który można było złożyć. Na jego ekranie pojawiła się gra strategiczna, z miniaturowymi postaciami zbierającymi złoto, kamienie, drewno do budowy, rozbudowy, podboju. A ja z całych sił chciałem się zorientować, jakie mam połączenia kolejowe lub w jaki sposób mógłbym sprowadzić tutaj swoją żonę. Niestety gra żerowała jakby na podstawie swojego istnienia, moich kontaktach, między innymi.

Postanowiłem, że zrestartuję urządzenie albo że wyciągnę kartę SIM. Znalazłem spinacz, wprowadziłem go w odpowiednie miejsce i ku mojemu zdziwieniu postaci z gry zatrzymały się i powoli zaczęły zmierzać w jakimś nieznanym kierunku. Wyglądało to tak, jakby się ewakuowały, schodziły do schronu poprzez portale, czy jakoś tak, jak to się modnie dzisiaj mówi.

Kontakt

Byli już daleko od brzegu. Ich jacht typu omega mknął po falach jeziora z dość dużą prędkością. Akwen *Resonance* stynął z tego, że pojawiali się tutaj różni bankierzy i finansisci, producenci plazmy i inne bezpieczniki. Obecność tutaj zawsze wiązała się z rozwiązywaniem jakichś problemów. Powszechnie było wiadomo, że woda tutaj i klimat, w tym zastępy *mosquitos* sprzyjały podejmowaniu decyzji, pleceniem trzy po trzy, dochodzeniu do wtażu, za którym pojawiał się złoto, w sztabkach lub w postaci ciekłej.

Dlatego też Ron i Mosul byli na tym tle intruzami. Pierwszy z nich miał lokal gastronomiczny, a drugi w nim pracował na czarno. Ron zatrudnił Mosula, po tym jak ten przekroczył nielegalnie granicę, brocząc w bagnie niedaleko Białegostoku. Łączyło ich wędkarstwo. Mosul chwalił się często, jak to potawiał ryby na Morzu Śródziemnym, bo pochodził z Jordanii. Obydwaj też z rozmysłem i gracją kłamali, więc trzeba było zakładać jakieś filtry w trakcie rozmowy z nimi.

- Dlaczego jak dotąd nie skontaktowaliśmy się z obcymi cywilizacjami? - odezwał się Ron niespodziewanie.
- Ponieważ źle szukamy - odparł ugodowo Mosul.
- Powinniśmy szukać zjawisk nadprzyrodzonych, a nie fizycznej powtórki - skończył filozoficznie.
- Słuchałem niedawno kanału Astrofaza i tam była mowa o nadświatlnych obserwatorach. Miałyby to być kwanty poruszające się z prędkością ponadświatlną. - Podrapał się po nosie. - Taka opcja byłaby chyba bliska temu, co mówisz.
- Tak, w pewnym sensie. To właściwa droga do poszukiwań. Powstaje jednak pytanie, jak w pojedynczych kwantach albo w fali umieścić coś inteligentnego? - odezwał się Mosul.
- Być może jest to kwestia wymiarów i wtedy należy zapytać, czy można by - mówi Ron - przejść z trzech wymiarów do jednego i tak upakować coś



Piotr Korczyński,
rysunek, bez daty

większego w coś wzniosłego, przezroczystego. – Odwrócił się od partnera i zaczął szukać w torbie, którą miał przewieszoną przez ramię. – To może być przetom – pokazywał Mosulowi haczyk. – Nanohaczyki na nanoryby. Co uważasz?

– Uważam, że to dobry kierunek, ale do takich ryb to jakieś wykwintne talerze by się przydały – spuwentował Mosul i zaczął się przyglądać własnemu sptawikowi, sugerując, że temat się wyczerpał.

Pływali już dość długo. Na tyle, by objąć z odległości ich krótką rozmowę. Zauważyli na wantach zmiany, które ich zastanowiły. Na wantach żagłówki przyczepione były icki i wimpelek. Z nimi stało się coś zadziwiającego. Widzieli na przemian dwa kierunki, jeden zaprzeczał drugiemu. Icki były naprężone na północ-południe, a wimpelek wskazywał na wschód-zachód. Można by powiedzieć, że znaleźli się w róży wiatrów, w samym centrum oka cyklonu. Ale nadal to był pływ. Wiedzieli, że wiatr jest inny.

Półów ryb udał im się szczęśliwie. Złowili parenaście ryb. Oczywiście, było to zakazane. Całe jezioro było własnością jakiegoś koncernu i jednocześnie było częścią parku narodowego. Inna broń, jaką mogli operować obok czysto steampunkowego uposażenia były wszczepy w mózg i sterowanie nimi na odległość. Zabrali to wszystko ze sobą, bo Mosul panicznie bał się polskich szpiegów. Poza przyborami do łowienia mieli pełne torby broni.

Teleportacja była koniecznością w sytuacji, w jakiej się znaleźli. Nie mogli się wydostać ze wskazówek pokazywanych przez jacht. Ale dokonywali właściwych manewrów, wobec jawnie zaangażowanych w fikcję, którą podawały icki i wimpelek. Szkoda im było ryb oraz całego ekwipunku, bo teleportować się mogli tylko nadzy. Takie były ograniczenia tej metody i jak dotąd nie wymyślono niczego lepszego. Chcieli tu wrócić, po swoje bagaże, ale teleportować się mogli tylko raz.

– Płyniemy, jakbyśmy mieli zamknięte oczy – stwierdził Ron. – Proszę przygotuj teleportator.

Przedmiot przypominał pistolet z epoki wiktoriańskiej. Był z jakiegoś szlachetnego drewna, ze zdobieniami w srebrze. Mosul wycelował go w okolice łodzi z wiosłami przy najbliższym położonym brzegu.

– Jak tam dotrzemy, to wykorzystamy ją do holowania naszej łodzi – wskazał na brzeg. Gdy doholowali, znowu ubrani, łódź żaglową do wypożyczalni, zauważyli, że nie ma w ich torbach ryb. W ich miejsce pojawił się mikroskop. Zaglądając przez okular do środka, zauważyli maleńkie przedmioty. Przypominały haczyki wędkarskie. Te maleńkie obiekty były ułożone w kształt wnętrza jeziora.

Source Code Ventures

>> cout

Zostali oddelegowani o świcie. Mieli odebrać wizy międzygalaktyczne u strażników wrzutni, a później podryfować po łańdżach kosmosu. Lśniące i pachnące nowością kombinezony nieco utrudniały ich ruchy. Byli ubrani i zachowywali się szczególnie. To nie była zwykła misja, aczkolwiek jej typ i kod nie wskazywały wprost na szacunek lub ezgaltację. – Jak dotąd nie dotarłem nigdy do Andromedy – wypuścić parę z ust Pik. – To będzie długi i wciągający piruet międzygwiazdny. – Jeśli cyfry i zegary nie podkopią dryfu, to w miarę łagodnie możemy całą szus odegrać w hibernacji – odparła Picz. – To może okazać się zabawne i pouczające. Pilot i nawigator mijali biometryczne bramki kontrolne, gdzie pobrano próbki ich skóry. Przed nimi migotały światła śluzy, ale było jeszcze parę dobrych minut, które można było trwonić na rozmowę.

– Zastanawia mnie rodzaj ładunku, to specyficzne formy żywe. Dokładnie dobrane do różnych, wyspecjalizowanych zadań – spokojnie stwierdził, unosząc lekko głowę w potyskującym pancerzu, zza którego ledwo dostrzec można było jego oczy. – Kurier, aptekarka, fryzjer i administratorka sieci neuronalnych. – Mamy ich profile, modele wielowymiarowe i zapasowe próbki kodu genetycznego. Są zaplombowane, tak jak to określiła polisa, w ramach umowy transferowej – przypomniała, zdając sobie sprawę, że rutynowe rozmowy dają jej możliwość zrelaksowania się. – To bodajże antyki. – Tak o nich mówią – w jego ruchach dostrzegą coś z dzikich zwierząt, jakie znała z symstymu – ci, dla których pracujemy. Dla mnie to coś prostszego, po prostu ładunek. Pragmatyzm Pika był na miejscu, ale myliłby się ktokolwiek, że puenta streszczała zdanie wielopiętrowego, agresywnego ekosystemu. Skóra upraszczających stwierdzeń, mięso leniwych opisów, ścięgnię dojmujących epitetów, kości zamków – takiej wiwisekcji dokonywała na własną odpowiedzialność. Nie miała na to dowodów ani nie brała pod uwagę jakichkolwiek świadectw, ale wyobrażała go sobie jako sadystę i kogoś, kto nie odpuszcza. Był pragmatystą, potrafił trafnie ocenić sytuację. Zwracał się do niej z czułością i dbał o szczegóły. Ponadto świetnie sprawdzał się jako nawigator. Miał w pamięci załomy kartografii, wirtualne modele gwiazd, fazy supernowych, migoczące ogniwa komet. Byli razem szkoleni przez Polskie Statki Kosmiczne. Pamiętała go doskonale, choć w okresie nauki nie byli bliskimi znajomymi. Wiedziała od paru osób, że lubił hazard, potrafił stawiać w zakładach. Upodobał sobie nielegalne zawody poduszkiowców organizowane na opuszczonych pustyniach wymarłych planet. Pojazdami kierowały cyborgi asekurowane przez nawigatorów z Ziemi. Tylko

niektóre ze ścigaczy docierały do mety. Wiele osób to dziwiło, ale Pik na zakładach wygrywał. Trudno powiedzieć, skąd się to brało. Niektórzy mówili, że potrafił przewidzieć, co się wydarzy, o jakieś sekundy, może minuty. Pewnego razu powiedział komuś, że tylko przyszłość krótkiego zakresu można zmienić. – Długozakresowych łańdż czasu nie sposób rozplątać – zabrzmiało w jej pamięci. Miała przed sobą obraz uśmiechniętego Pika ustawionego twarzą w stronę dwóch słońc. – Czy wiesz może coś na temat zamawiającego i miejsca docelowego? – wyrwał ją z zamyślenia. – Podobno to jakiś kolekcjoner, jeśli można tak powiedzieć. Docelowo materiał genetyczny ma trafić do multiwersu, kurortu oferującego rzeczywistość poszerzoną i neurogruv. Planeta jest prawie nie zamieszkała. Dotarła tam pewna grupa frików eony temu i odtąd nie było z nimi żadnego kontaktu. Zaszyli się w jakiejś wydmy i ciułali bitcoiny w złotych fermach. – Długo to trwało, zanim postawili się na nogi, choć nadal jakoś specjalnie szykiem nie świecą – odpowiedziała. – To tak, jakby stawiać pałac z piasku. W sumie to jakaś forma emergencji, choć trudno w to uwierzyć. Małolaci, cybersurferzy, odloty, ale dryg do interesów przemówił przez nich silnym głosem potężnego tornado. Przyschli do deków, urosły im brody, a konta w bankach odnotowały serię kluczowych przelewów. – Zbudowali pałac wewnątrz fortyfikacji. Otoczyli się energorobotami wytwarzającymi pole elektromagnetyczne, które nie przepuści przystawionej muchy – przez świetlne warstwy wyswietlacza zobaczył dwa palce, kciuk i wskazujący, na moment złączone ze sobą. – Poza wyjątkową strefą, na której porozrzucone zostały cybernetyczne skorpiony, rozciąga się rezerwat, a gdzieś w nim są wyodrębnione ogrody i siedziby mieszkalne – skończył myśl. – Tam nie dotarła jak dotąd żadna sonda, brak danych, które można by wyczytać z map – przyglądał się jej kątem oka, śledząc równocześnie treści, jakie przelatywały przez wyswietlacz. Położenie ich względem śluzy, a także osadzone w otoczeniu kosmicznym jednostki nawigacyjne, boje, bramki do nadprzestrzeni i pływy. Zautomatyzowany agent przeczesywał pole elektroakustyczne w poszukiwaniu aktualnych wiadomości na temat drożności aort kosmicznych. Postrzegał ją jako osobę energiczną, dynamiczną, łatwo wchodzącą w interakcje z inną osobą, ale jednocześnie miał wrażenie, że ten obraz nie wyczerpuje opisu. Co więcej miał wrażenie, że jej istota kryje, przechowuje odrębne warstwy. Miał ochotę dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie wiedział, jak to zrobić, i nie potrafił się zdobyć na przekroczenie służbowych procedur oraz etykiety. Pamiętał ją ze szkoleń, ale nie poznał jej na tyle, by mógł o niej dużo powiedzieć. Od kogoś dowiedział się, że spędza czas w symstymie, ale sam tam nie bywał i w sumie nie wiedział, co to może znaczyć.

<< cin

Podnośnik oparł się łagodnie o poduszki ze sprężonym gazem i zatrzymał się. Usłyszeli jednostajny syk, który stopniowo zmieniał barwę. Przypominał dźwięk wydawany przez osobnika z pełnym pyskiem, zaskoczonego i przerażonego w chwili trawienia. Ten akustyczny i dramatyczny jednocześnie fajerwerk stał na korzyść delikatnego pomruku, odpowiednika zadowolenia, które następuje po uczcie. Poczuli się swojsko, jakby wracali do siebie, choć żadne z nich nie miało stałego adresu, byli ciągle w drodze. Pojawił się sygnał, obraz fluorescencyjny i akordy mikrotonowe. Spojrzeli przez wizjer i zauważyli, że do śluzy podłączono windę pneumatyczną. Od jakiegoś czasu siła grawitacji ciągnęła ich w dół. Aktualnie utrzymywali się w pozycji pionowej, choć nadal niepewnie. Kotysało ich na boki. Wracali z nowymi doświadczeniami, ale bez ładunku. Kurs zgodnie z planem dotyczył transportu materiału genetycznego, antyków na potrzeby nowej kolonii. – To było połączenie muzeum, spa, hotelu i koszar. Niezwykła architektura, potężne mury, zasieki, monumentalne portyki, ale ekologiczne, responsywne materiały – stwierdził szukając w pamięci szczegółów krajobrazu. – Ładunek został należycie sprawdzony i od razu trafił na półki, jeśli można tak powiedzieć. Żywa skamielina to chyba przesada, ale bardziej trafne byłoby stwierdzenie, że uzupełniliśmy ich kolekcję figur woskowych... W każdym bądź razie – zająknął się. Usłyszała serię lekkich drgnień, szmerów, nie miała pewności, czy tak świetnie sobie radził z generowaniem usterek, czy telekom dziurawił kanat przesytu. Dla niej ta wyprawa miała znaczenie ze względu na krótki, wycieczkowy wypad do części przyrodniczej. Znajdowała przyjemność w urbanistyce, ultramodernistycznym wzornictwie światła, sztucznej inteligencji i biomateriałów, ale wśród istot żywych, w ogrodach McKeanny, jak je nazywali, odnalazła niezwykle zbieżności z tym, co znała z symstymu. To było życie, którego od dawna już nie doświadczano nigdzie w Drodze Mlecznej. – W każdym razie ładunek zadokowany, hibernatory puste, mieliśmy co prawda zabrać coś z ich wspaniałej flory, ale ostatecznie gdzieś na linii handlowej doszło do scysji – dokończył myśl. Przypomniał sobie w tej chwili ich pełny skupienia przemarsz po potaci ogrodów. Medytowali nad fizjologią roślinności, badali rozkład krwinek liści, zatapiali się w słoicy owoców i zasypiali na jawie. – Przez moment miałem wrażenie, że zrzucaś własną skórę. Ciało pęka i wysuwa się o wiele potężniejsza głowa owada. Przy tym – słyszałem drona o metalicznej barwie, jednostajnego, przyjaznego. – Przedmioty wokół straciły dotychczasową skalę, ale zanim to nastąpiło, miałam wrażenie, być może w jakimś stopniu podobne do twojego, że stąpasz się z otoczeniem – podzieliła się swoimi refleksjami, których jak dotąd nie zdążyła uporządkować. – Widziałam, jak twoje oczy pęcznieją, skóra staje się gładka, kończyny wydłużają się, palce tracą stary kształt i stają się zakończone okrągłymi bulwami. Czułam, jak zagarnia cię populacja lemurów. Zniknąłeś z pola percepcji.

sizeof()

Byli już w windzie. Ich obrazy, odgłosy, uczucia wędrowały bezprzewodowo przez haba w wielu kierunkach. W oddalonym o parseki laboratorium grupa biohakerów próbowała przekonwertować typy zmiennych z tekstowych na liczbowe. Docelowo starano się wydobyć dostatecznie stabilną próbkę, na której miała pracować pewna zdolna administratorka sieci neuronalnych. W jej notatkach odnaleziono następujący ciąg znaków: <<>> ^ &

Zbigniew Libera

My Mother and I

Fotografie powstały podczas sesji zdjęciowej do spektaklu *Młody mężczyzna* w reżyserii Katarzyny Kalwat dla Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Lipiec 2023.







Anke Machowski

Manifest demokracji bezpośredniej *Demosie, rządz nam i patrz na ręce nasze*

Nie ma demokracji bezpośredniej bez partycypacji i deliberacji. Bezpośredniość wyraża się w osobistym kontakcie z akcją decyzyjną pod postacią inicjatywy aktodawczej, obywatelskiego weta, udziału w referendum, ale także poprzez zabieranie głosu w sprawach polityki i w szeroko rozumianych „sprawach społecznych”.

Gdyby na bezludnej wyspie znalazły się trzy osoby i gdyby pozbawić je jedzenia oraz napoju, to w drodze demokratycznego głosowania zapadłaby decyzja o zjedzeniu jednej z osób.

Możliwe.

Często słyszymy argumenty przeciwko demokracji, zwłaszcza tej bezpośredniej, w której decyzyjność oddaje się w ręce osób o podważalnych kompetencjach do decydowania.

Bezpośredniość demokracji wywodzi się z jej starożytnych fundamentów i uczestniczenia obywateli w zgromadzeniach, głosowaniach oraz kształtowaniu życia polis. To zaangażowanie wynikało z kwestii ustrojowych – polis działała dzięki wysokiej aktywności obywateli, a obywatele byli wysoce zaangażowani, bo tak funkcjonowała polis. W toku rozwoju państwowości decyzyjność ze względów funkcjonalnych przeniosła się na organy reprezentacyjne, za czym naturalnie kroczyło zobojętnienie obywateli wobec bieżących spraw polityki.

Deliberować znaczy dyskutować, podejmować dialog, modyfikować własne myśli na skutek zderzenia z ich z refleksjami innych osób, zmieniać poglądy i stanowiska.

Chcemy wdrożenia instytucji demokracji bezpośredniej, służących aktywizacji społeczeństwa obywatelskiego poprzez podniesienie konieczności i podkreślenie potrzeby podejmowania otwartej rozmowy o wartościach, słusznościach i poglądach jednostkowych na sprawy kraju, gospodarki i społeczeństwa.

Co zrobić, aby o zjedzeniu jednego nie zdecydowało dwoje?

W interesie władzy – z uwagi między innymi na funkcjonalny aspekt decentralizacji - jest przelewanie na jednostki wiedzy o prawach rządzących ekonomią i społeczeństwem oraz relacjami między aktorami krajowej i międzynarodowej

sceny politycznej. Przystawanie tej wiedzy wymaga wysiłku, lecz nie jest to wysiłek daremny lub też wiedza ta nie pozostaje w żaden sposób wiedzą tajemną lub wysoce skomplikowaną.

Zauważyć należy też, że partycypacja i realizowanie swej obywatelskiej woli realizuje się już na poziomie podwórka i osiedla – choćby w kontekście urządzenia okolicy lub wpływania na administracyjne decyzje lokalnych władarzy.

Nie trzeba nam zatem specjalnej wiedzy o polityce międzynarodowej, aby czuć sprawczość i mieć wpływ na rzeczywistość wokół. Partycypacja stanowi także remedium na szarość codzienności, w której nasz los leży w rękach pracodawcy, przełożonego, zarządcy budynku i pozostaje nam jedynie zakiszać swój gniew, smutek i frustrację oraz zaklinać pod nosem.

Bezpośredniość uwrażliwia na prawo do błędu. Uniwersalizuje i upowszechnia ponadczasową myśl o wrodzonej ludzkiej słabości oraz przyrodzonej i popartej prawem natury możliwości wykuwania charakteru, zdobywania wiedzy, realizowania pasji i spełniania marzeń.

Wykonywanie powyższego na tonie społeczeństwa dostarcza istotnie ważnego składnika: praca ta staje się użyteczna dla innych osób, a jednocześnie odpowiada na nasze wrodzone potrzeby - między innymi samorealizacji, akceptacji i kontaktu z drugim człowiekiem. Weryfikowanie własnych poglądów w pokojowym, dialogowym trybie, w ramach dyskusji o odpowiednio wysokim standardzie prowadzenia debaty, przynosi niebywałą satysfakcję, a prawo wypierania pieniądza lepszemu przez gorszy działa dokładnie odwrotnie w warunkach demokracji bezpośredniej i partycypacyjnej.

Rządzi tu bowiem zasada demokratyzowania demokracji, czyli dostosowywania jej do funkcjonowania społeczeństwa w ramach pogłębionego rozumienia zasad równości, wolności, szacunku do praw człowieka, praworządności i państwa prawa. To nie są wszystkie zasady.

wrzesień 2024



Mariusz Czeżyk, *bez tytułu*, ołówkiem oraz kredkami

Sławomir Shuty

Księga neurodzaju

Bóg dwoił się i troił, narobił planet i gwiazd, w końcu ukleił człowieka; uczynił mężczyznę i niewiastę, i było to wpytne, na tyle że dał im władzę nad wszelakim stworzeniem, a sam udał się ogarniać stygnące otchłanie kosmosu, który wówczas był jeszcze chaosem.

Chodźciez tu moi drodzy – zawołał Bóg, a kiedy się zbliżyli, mężczyzna i kobieta, powiedział – Dobra ludziska, kapkę mnie nie będzie, gonię spiąć pewne tematy, czarne dziury i białe karty, a wy tu proszę zajmijcie się pilnowaniem stworzenia, to jest zwierząt i roślin, daję wam to wszystko w panowanie, gites wpytes co? Ale z jednego drzewa owoców weźcie nie jedzcie, bo was przeczyci, zresztą to drzewko rodzi niewiele, a to są moje ulubione owoce, więc zostawcie je dla mnie, okejnos?

Dobra, powiedział człowiek, a kiedy Bóg odpalił wroty, poszedł do węża i namówił go, żeby przekonał kobietę, żeby ona zerwała owoc i dała mu do spróbowania, on się będzie na początku wzbriał, ale w końcu ulegnie podszeptom, a dzięki temu zrzuci na nią winę jakby co.

Owoc był cierpki i wywoływał potwornego kaca, ale i ciekawe wizje. To dzięki nim człowiek rozumiał, z jak majestatycznym dziełem ma do czynienia. A kiedy zrozumiał, postanowił działać, by uczcić Łojca w należyły sposób i zadbać o jego piękne stworzenie. Zrobię tatusiowi niespodziankę, pomyślał, jak wróci to się chłop zdziwi, a pomysłów człowiek miał multum i do roboty chętnie ręce kobiety.

Najsamprzód zajął się drzewem wiadomości. Skoro Bogu było miłe, ogroził je kamiennym płótem, naprawdę wysoka jakość, całość uwieńczył zdobioną w roślinne ozdoby kratą, tak żeby się żadne skurwiele zwierzęta nie potasiły na ulubiony przez Łojca owoc, bo już się mały, te dziady jedne, zainteresowały.

Kolejnego dnia uregulował bieg rzeki, która przez rajski ogród przepływała i opływała teraz drzewo wiadomości tworząc wysepkę, i było to dobre, a resztę jej biegu wpuścił w podziemny kanał, by niepotrzebnie nie zajmowała miejsca, bo zwierząt i roślin było masa, a miejsca w raju wcale nie tak wiele, zresztą planował wyplantować kawałek ogrodu, postawić szklarnię i zrobić rozsadę rajskiego drzewa, tak żeby Łojciec, jak wróci, miał owoców po pachy i nie musiał sknerzyć.

Dnia następnego wpadł na pomysł, by zanie uczcić Stworzyciela i postawić mu godną świątynię, wykarczował więc kawał lasów deszczowych, po co komu tyle krzaczysk, przejść się tędy nie da normalnie, tylko pająki, mrówki i inne robale mają używanie, a niedoczekanie. Na karczowisku walnął piramidę, wysoką aż do chmur, co miało symbolizować zaślubiony nieba i ziemi. I było to bardziej niż dobre.

I choć kobieta sprzeciwiała się śmiałym pomysłom męża, on zgasił ją bierną agresją i wyrzutami sumienia – wszak dała się uwieść podszeptom węża i podkusiła do grzechu, więc zagnał niewiastę do szatasu, do garów, a sam przysposobił eleganckie lądowisko dla aniołów oraz parking dla odwiedzających, a że prawie cały kamień poszedł na piramidę, to skierował wszystkie rzeczułki w rury, tak żeby nie zajmowały miejsca, z ryb zrobił znakomity paprykarz, z rzecznych koryt wydobyt piach, skruszył wapienną jurę, która szpeciła krajobraz dziwnymi nieregularnymi kształtami,

zmieszał to wszystko i wylał wokół świątyni elegancki beton, beton to jest przyszłość, łatwy do posprzątania, równiutki, ej jakie to było świetne!

Na wejściach do raju zainstalował bramki, wiadomo, za wejście trza płacić, nic nie ma za darmo, odbyła się tu poważna inwestycja, która się musiała zwrócić, zresztą zwierzynę trzeba za coś karmić, co prawda żarła owoce i niby niczego jej więcej nie było potrzeba, ale z owoców lepiej narobić dżemu i wciskać turystom, zwierzęta mogą jeść smaczną paszę. Trzeba przypomnieć Staremu, żeby stworzył turystów, zapisał człowieka w terminarzu.

Wiadomo, pasza z nieba nie spada jak manna, należy postawić linię produkcyjną, to jest halę fabryczną i zaplecze pracownicze. Pod nóż musiały pójść największe rajskie drzewa, deski obiciowe było już łatwiej pozyskać, znów kilka hektarów lasu trzeba było wyciąć, ale co zrobić, jak chcesz coś mieć, trzeba coś poświęcić, tak działa świat i było to wspaniałe.

Następnego dnia podłubał w genach roślin, bo rosty jak chciały, nierówno, bez składu i ładu, porządek musi być, to się właśnie nazywa robienie kosmosu z chaosu, pod zmodyfikowane uprawy konieczne było dalsze karczowanie, przestrzeń życiowa zwierząt nieco się skurczyła, więc zwołał walne zebranie, na którym ogłosił: hej ładne jesteście, ale obserwuję was od jakiegoś czasu i zauważyłem, że się wałęście beztadnie po rajskim ogrodzie, podgryzając drzewa, dewastując trawniki, bez sensu zupełnie, bardzo to niefajne zachowanie, nieodpowiedzialne, niewdzięczne, to musi ulec zmianie, chyba się zgodzicie, że musimy działać razem dla wspólnego dobra, tak żeby nasz ojciec był zadowolony, prawda? Mam pomysł, żeby wszystkim było dobrze, żeby ten nasz raj naprawdę zaczął działać, jak należy. I zamknął zwierzęta w pięknych wygodnych klatkach, z dostępem do świeżej wody i regularną paszą.

A kiedy Bóg wrócił z lepienia odległych galaktyk, człowiek pękał z dumy i przebierał nóżkami, żeby się pochwalić pracą. Patrz – powiedział człowiek – co tu odwaliłem, kawał dobrej roboty, co? Pamiętasz, jak tu wszystko było nie-miłosierdzie pozarastane? Jaki nieład, a nawet chaos, straszne chaszczce, gąszcz niewymowny, chwaściska wysokie na dwa metry, krzaki, dziadostwo, ale od czego dałeś mi dwie ręce i mózg, co myślisz?

Zobacz; drzewo wiadomości w centrum, to jego należne miejsce, patrz tu, marmurowe płyty wokół, granitowy cokół, wykończenia z malachitu, złote fugi, zobacz, jak to wspaniale się komponuje z fontannami w tle, wszystko to zgodnie z regułą złotego podziału, to architektoniczna metafora kosmosu.

U stóp piramidy jeździła kolejka. Jak się znudzisz stwarzaniem światów, to możesz tu usiąść i się wyluzować, pocziłować, patrz jaka zabawa, naciskasz guzik i lokomotywa jedzie przez miasto, drugi guzik – jedzie przez wieś, jest klika składów, które mogą sunąć różnymi trasami, świetne, co? Oczywiście można to rozbudować, myślałem o tym, co prawda wybieg stoni uległby zmniejszeniu, ale zauważyłem, że hultaje wcale nie korzystają z całego wybiegu, zwykle siedzą w cieniu jednego drzewa, gdyby miały więcej drzew, to rozlałyby się po całym terenie, główka pracuje, co?

Bóg westchnął, a człowiek wyprężył pierś czekając na medal: – Już? Skończyłeś z tym farmazonem? Ty chyba jesteś zaburzony, co? Jesteś czy nie? Chyba tak, debilu francowaty, głupia tępą niedojdo, zepsuta niedorajdo, spieprzyłeś mi tu wszystko, wyróciłeś do góry nogami! Skruszony mężczyzna wyciągnął z jaskini kobietę – Ja przecież nic, tyle co tylko, to ona, ona podżęgała, ona namówiła! W płaczu i łkaniach rzucił się do stóp Łojca, ale ten nie miał zamiaru przytulić, kopnął tylko człowieka w dupę, tak że ten wyleciał z hukiem z rajskiego ogrodu. Idź z nim i go pilnuj – powiedział kobiecie – przecież idiota sam se nie da rady.

Nie miał racji, człowiek wylądował tyłkiem w pyle i od razu rozkminił – łębski był – że pył to świetny składnik betonu i wybetonuje Bogu świątynię, że głowa mała, a kiedy on to zobaczy, to wybaczy i będzie to dobre.

Konrad Góra

Doma tek

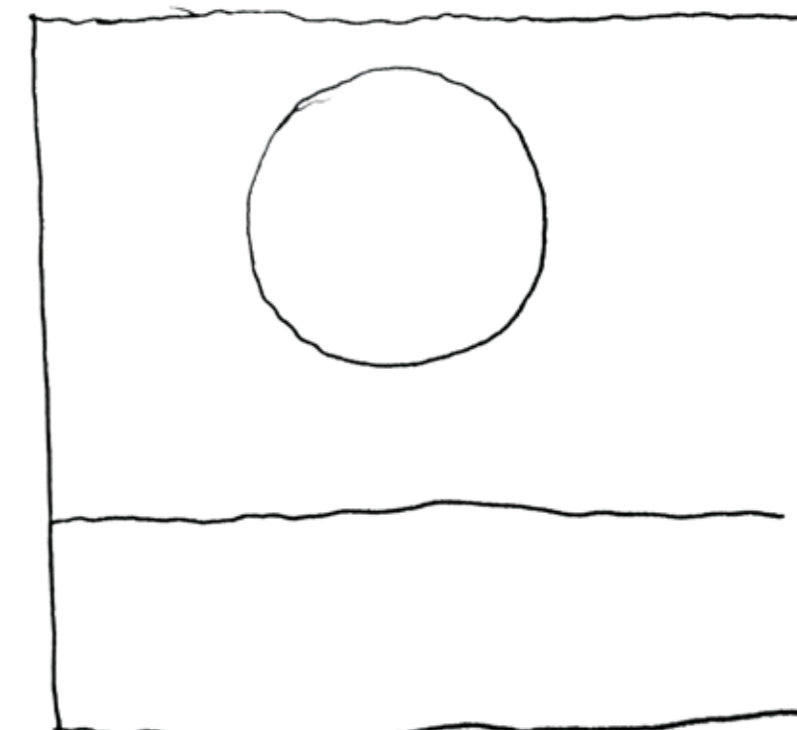
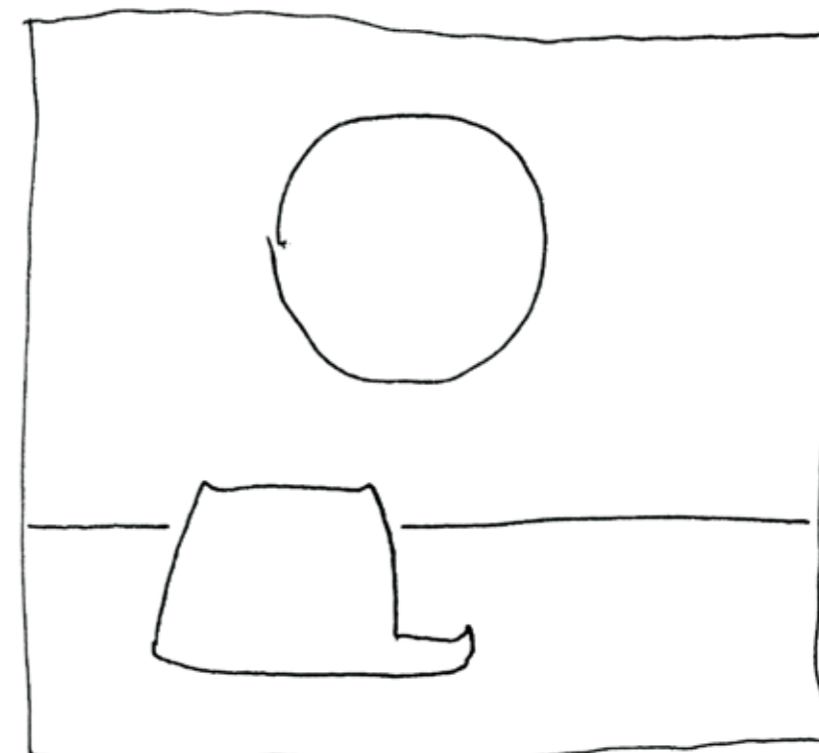
Jest klaczą z ułańską fantazją postaną na salami Via Carpatią przez Węgry Salo i dyscyplinę godności.

Jest starą wdową zagubioną na pielgrzymce w Wilnie, kupuje Możejki za recepty męża, drze sweter, tonie przydepnięta w kratownicy serwisu Łukoila.

Jest topolą i brzożą przechodzącą w olchę - buk, jest rakiem piersi i donoszoną ciężą martwiczą pierwszych, zapatką i klockiem hamulcowym Kii Ereb drugich.

Jest męską, mefedronową dziwką w transie Jasnej Góry, jest Rutkiewicz, która jej nigdy nie zdobyła, pomyliła nieba, doznała oślepienia.

- umry umry umrykanka
strejta staadwie stalinki
marksa marska wutrabanka
unhumanka spaty branka
at nespatty poleranka
ta umraty bez pamaty
at zmężnieje poche talo
uż ne skaczy w token oka
dale wola kombinezon
brezent kory chowatelom



Wacław Mejbaum, Kot

W 17



Mariusz Czeżyk, *bez tytułu*, ołówkiem oraz kredkami

Marcin Czerwiński

- szotne gilt
raban szikse gewehte
chapalin trefn szmelc
kuszpe rajwach
was chucpe was machlojn
nicht fajn ksive
in undzere sztetlech
feraj

Świat pełen jest bytych

Świat pełen jest
bytych, mówi
Siergiej, kumpel
Rosjanin, emigrant.
Kiedy to mówi, język
mu umyka jak wąż
w trawie i grozi
sykiem. Ten wiersz
też ma kształt węża
i rozdwa się jak
język diabła albo
żmii, która jednak z
diabłem nie ma nic
wspólnego. Ukąsi?
Nie ukąsi. A może
kąśnie? Bo świat
pełen jest bytych.
Co zrobić z tym
fantem? Uciekać?

Układać stosunki
bilateralne między
państwami po
zerwaniu stosunków
bilateralnych między
państwami? Kaliber.
Zorganizować
wspólnie zawody
olimpijskie w
rywalizacji prawdy
prawdziwej z
chujową
propagandą?
W rywalizacji
imperializmu z
imperializmem?
Nie.
Tak.
Tak nie.

Ko-re-a, Wie-tnam,
Afganistan, Cze-cze-nia
Cze-cze-nia, Afganistan,
Irak.
Siedem dekad
usianych trupami.
Iskander.
Żeby nie było jednak,
powiedzmy dosadnie:
sława Ukraini.
Chłopaków z ZSU
kocham odpór bestii.
Jestem ich kibicem
i psychofanem,
każdego dnia czekam,
by wyprzedzili śmierć.
By Kreml szczęł. Krab.
Ale wróćmy do bytych.
I jeszcze stresują mnie

ich streamingi i stringi w mediach społecznościowych. Iskander. Stresuje mnie moja niedoskonałość. Blizny po ranach kłutych i ranach ciętych. Ripostami, zjadłością, urodą budzącą melancholię. Panzerfaust. Na szczęście po latach nie zadaje się już pytania „kto tam u ciebie jest”. Ani tym bardziej „no co tam”. Żadnych cotam. Javelin. Raczej żadnych pytań się nie zadaje. No raczej. Ma być higienicznie i szybko. Albo grzecznie i towarzysko. Kaliber. I absolutnie nie psujemy atmosfery; używamy *savoir vivre*’u, nie wolno nam krzywo spojrzeć (to oznaka

ślabości). Iskander. Bez grymasów, bez wydymania ust, bez marszczenia nosa. Panzerfaust. Aha, brwi muszą pozostać nieruchome. Śmiejemy się lekko, nie przesadnie. Javelin. Mamy na wszystko wyjebane, to ważne: ten look, ten sznyt dezynwoltury. Kaliber. Noga na nogę, latte wiemy z jakim, prezencja na tip-top i tik-tok (jednostki odstraszająco-maskujące). Iskander. Fejs lepszy od reala, cali jesteśmy na ostatni guzik niedbale odpięty. Panzerfaust. Druga strona wystawia znaczące siły na granicy i negocjuje. Nie zaciskamy pięści, nie zaciskamy szczęk i bez zgrzytania

zębami, chyba że w nocy, przez sen. Javelin. Po powrocie łoimy. Bo wtopiły wszystkie nasze bataliony. Bo gruz200 wzrósł o tysiąc procent i łoimy. Kaliber. Do wygaszania uczuć palenisko300, samobieżne. Dziesięć tysięcy naszych myśli poległo w dziesięć dni. Iskander. Łoimy. A potem mówią, że tak nie wolno. Że tak nie wolno, mówią. Panzerfaust. A gdy Sylvia Plath pisała o abażurach z ludzkich skór w swoim ślicznym jak sen amerykańskim domku, to też nie wolno? Javelin. I tylko łoić wolno, gdy prawdy już nie wolno. Kaliber. Piorun. Kindżał.

Paweł Orzeł

fragment powieści, której pewnie nie uda mi się nigdy skończyć, *Całe życie z ludźmi*

[...]

◆ Bohater... ■ Bohater wychodzi z samochodu. ▲ Bohater... ●

▲

■

◆

▼

●

Bohater już

w dziewiętnastym wieku postanowił osiąść na wyspie. Bohater od pewnego czasu obserwuje życie kobiety, z którą jest lub chciałby być. Bohater z żalosnym skutkiem podejmuje się najróżniejszych czynności zarobkowych. Bohater niechcący wyjeżdża z nieswoimi rodzicami na bardzo daleki wschód. Bohater z innymi ludźmi i nie tylko ludźmi wysiada z brudnego autokaru przy lotnisku. Bohater krąży po swoim cudownym osiedlu. Bohater dość sprawnie udaje, że załatwia liczne sprawy na mieście. Bohater, z powodu absolutnej blokady komunikacyjnej w tym samym mieście, ma problemy z powrotem do domu. Bohater w smętym pubie ogląda czarno-biały film o przerośniętych i niezbyt ładnych potworach. Bohater jest w domu chyba swoich rodziców, ale wolałby być gdzie indziej. Bohater jest na jakimś obozie naukowym jakiegoś instytutu, którego nazwy nie zapamiętał albo nawet i nigdy w pełni nie poznał. Bohater przyjeżdża do zasranego i zaplutego miasteczka. Bohater melduje się w zaplutym i zasranym hotelu. Bohater z kaleką znajomą wsiada do dość nowoczesnego pociągu bez okien. Bohater po prostu żyje w swoim dawnym miasteczku. Bohater całkiem odważnie znów spaceruje lub nawet szwenda się po mieście. Bohater, którego jakaś siła wyższa opuściła, wraca do swojej dawnej szkoły podstawowej. Bohater z okazji świąt zaproszony został przez rozwiniętych w stopniu umiarkowanym znajomych na liczne uroczystości. Bohater wraz rodzicami jest w swoim dawnym mieszkaniu, w którym zupełnie nic istotnego dla niego nie wydarzyło się. Bohater po niemal śmiertelnym wylewie nie potrafi od dłuższego czasu wypętnąć z domu. Bohater odnosi wrażenie, ale to tylko wrażenie, że uczestniczy w przygotowaniach do meczu swojej ulubionej drużyny piłkarskiej. Bohater bez przygód szuka pewnej osoby na mieście, choć nie jest całkiem pewien, kogo szuka.

Bohater zdecydowanie pijany przychodzi na wernisaz przyjaciela. Bohater pełni, o dziwo, dość istotną rolę w ekspedycji, której celem jest zbadanie piramid odkrytych niedaleko jego miejsca zamieszkania. Bohater wraz z innymi osobami bez spodni zakrada się do budynku na kampusie studenckim. Bohater załatwia wiele ważnych spraw na mieście, z których tradycyjnie nic ważnego nie wynika. Bohater ze sporą grupą ludzi bierze udział w sześćdziesięciosześciotygodniowej wycieczce donikąd. Bohater po tych przygodach uczestniczy w kolejnej dużej wycieczce. Bohater jeszcze później z bliższym przyjacielem podróżuje samolotem. Bohater przyjmuje podejrzanych typów w mieszkaniu babci. Bohater chodzi po opustoszałym mieście, oprócz niego poruszają się w nim wyłącznie żółwie. Bohater w supermarkecie poznaje na jednym stoisku miłą dziewczynę do kupienia. Bohater wraca z któregoś z wyjazdów i pojawia się niemal cudownie na obskurnym lotnisku. Bohater znów jest w jakimś niewielkim, trudnym do określenia miasteczku. Bohater zdobywa swoje ukochane miasto od południowej strony. Bohater w obcej szkole przysłuchuje się występom znanych i martwych osobistości lub osobowości. Bohater odkrywa duży dom i postanawia w nim zamieszkać jakby nigdy nic. Bohater znów przeniósł się do dziewiętnastego wieku, choć zbliżająca się do niego wojna z pewnością miała już być dwudziestowieczna. Bohater mieszka na innej planecie i niczym się nie przejmuje. Bohater porusza się metrem w prawo i w lewo, do przodu i do tyłu, w górę i w dół. Bohater znów jest w szkole i postanawia przespać ten nieprzyjemny i nieuczciwy czas. Bohater w końcu ma dla siebie trochę czasu i też w końcu zamierza coś sobie zrobić. Bohater rozmawia długo i o wszystkim z przyjaciółką, która przysiadła na jego komputerze. Bohater nie może zdecydować się, czy jest w galerii artystycznej, innej galerii lub po prostu w czymś mieszkaniu. Bohater dostrzega swoją dawną dziewczynę, idącą we wstydlivy sposób. Bohater uznał, że to najwyższa pora, by przenieść się z grupką znajomych do lasu. Bohater bardzo długo jedzie autobusem przez niewyraźne miasto. Bohater spędza czas w typowym samobójczym kurorcie wypoczynkowym. Bohater zmuszony przez rodziców pojechał do mieszkania nieżyjącej babci. Bohater żyje i nie żyje w dużej grupie ludzi. Bohater spędza czas ze swoim przyjacielem, mentorem, kochankiem i hydraulikiem. Bohater jeszcze raz jedzie autorem z grupą osób i myśli, że nigdy to się nie skończy. Bohater z tą samą grupą osób znowu wędruje po tym samym lesie i wciąż myśli, że to się nigdy nie skończy. Bohater jest w cerkwi i wstydzi się swojej dziecinności w grzeszeniu. Bohater niczym pedofil odwiedza kolejną szkołę podstawową w tej samej okolicy. Bohater bierze udział z dziećmi w dziwnej zabawie, która przeradza się w zwykłą bijatykę. Bohater stracił prawą nogę poniżej kolana i lewe jądro. Bohater z partnerką odwiedza kolegę, z którym ona go zdradza w kiosku. Bohater uczestniczy w wyjeździe naukowym poświęconym kulturze robaczków żywiących się fornirem. Bohater na ostatnim piętrze jakiegoś wieżowca odkrywa

salę gimnastyczną, redakcję dziennika politycznego, ale przede wszystkim jakąś sekretarkę. Bohater ewoluował i tym razem znajduje się w swoim dawnym liceum. Bohater z dawnego liceum poszedł bezmyślnie do jednego z dawnych mieszkań. Bohater jak pomyłony spaceruje bez czapki po zaśnieżonym lesie. Bohater zmarznięty samochodem wjechał do supermarketu. Bohater przebywa na południu jakiegoś ciepłego kraju, nad którym nigdy nie zachodzi słońce. Bohater przygląda się kostce chodnikowej i kostce toaletowej na dnie swojej szafki szkolnej. Bohater wraca na południe tego dziwnego kraju. Bohater zamieszkał w nawiedzonym pensjonacie z grupą obcych studentów. Bohater dowiaduje się, że od jutra nie będzie umiał posłużyć się żadną dwudziestopierwszowieczną technologią. Bohater rozgląda się po całkowicie zniszczonym mieście i szuka fontanny do oddania moczu. Bohater ze swoim promotorem idzie na własny pogrzeb. Bohater jest w szkole i uczestniczy w lekcji, uczestniczy w lekcji. Bohater zwiedza nowe miasto bez wychodzenia z metra. Bohater przebywa za granicą wyobraźni. Bohater nie chce komentować tego, że znów mieszka z rodzicami. Bohater musi pójść pospacerować po ukochanym osiedlu. Bohater dostał się na kolejny objazd naukowy, którego tematu jeszcze nie poznał. Bohater znajduje się tam gdzie zawsze i jak zawsze czuje się obco. Bohater znów z niechęcią przebywa w domu. Bohater wyobraża sobie, że mieszkanie jest piętrowe lub ma chociaż jakąś obsraną przez ptaki antresolę. Bohater podczas uroczystego obiadu rodzinnego udaje dorosłego i przegląda prasę pornograficzną. Bohater prowadzi jakieś zajęcia o tym, co ostatnio widział i czytał. Bohater przebywa nie w jednej, ale w dwóch podstawówkach naraz. Bohater znów przebywa na osiedlu i myśli o znalezieniu trzepaka, na którym nigdy nie siedział. Bohater podróżując trafił do dużego i chyba też nawiedzonego pensjonatu. Bohater wyjeżdża z rodzicami na wakacje i chce zaproponować im właśnie ten pensjonat. Bohater jest gdzieś. Bohater w tym gdzieś zaangażował się w sprawy lokalnego języka. Bohater zostaje umieszczony w zoo. Bohater znów spaceruje po mieście i myśli o swoim ostatnim zajęciu za kratkami. Bohater odkrywa, że coś się zmieniło. Bohater uświadamia sobie, że wciąż przebywa w dziwnej i nieprzyjaznej krainie. Bohater przebywa w Roanoke. Bohater jest bardzo zdezorientowany. Bohater tęskni za objazdami naukowymi. Bohater nie potrafi przy pomocy czegokolwiek i kogokolwiek określić swojego położenia. Bohater niestrudzenie poszukuje kogoś lub czegoś. Bohater wyjeżdża. Bohater krąży wokół jakiejś sceny lub kościoła. ●



● Chyba dziewięćdziesiąt dziewięć przypadków. ▲ Tak, na pewno dziewięćdziesiąt dziewięć przypadków z jego życia. ■ Z jego snów. Może nawet i marzeń ◆ Z pierwotnym bólem sklecanych myśli. ■ Planów. ▼ Może dla równego rachunku pewnej liczby magicznej jeszcze dwa. Dwa zaskakująco zwyczajne. Dwa uczciwe. I z pewnością dwa ostatnie. Zanim bohater wyjdzie z samochodu... Do jasnej cholery. ●

▲

■

◆

▼

● Bohater spędza czas w niewielkim mieszkaniu, do którego ma się niebawem wprowadzić. Bohater przebywa w nieznanym mu miasteczku. ●

▼

◆

■

▲

● I do jasnej cholery jeszcze raz. I raz jeszcze.

Trudno powiedzieć, co stało się nieco wyżej. Być może tylko warto namyślić się, czy te dwa ostatnie cytowane – skąd? – zdania nie powinny być w odwrotnej kolejności. Mogłyby mieć wtedy nieco większy sens przy czymś, co kiedyś wyzywano od przyczynowości i skutkowości. Ale może też tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Może są to tylko zdania potencjalne. Obrazy potencjalne. Pomysły potencjalne?... Z każdą propozycją coraz mniej jestem pewien, jak to nazwać i po co w ogóle to nazywać. Jedno jest pewne – w tym gdzieś jest dalsza część tej nieciekawej książki. ▲ Drugie jest pewne – na razie nazwę to bezdrożami potencjalnymi. ■ Ślepymi uliczkami? Zaułkami? Do jasnej... Kurwa mać. ◆ I jakby nigdy nic... ■ Wychodzi z samochodu. Wreszcie. Wreszcie wychodzi i w końcu wyszedł. Lub na odwrót. Czemu tyle mu zajęło? Zasnął? Zasnął za kierownicą? Zasnął w trakcie samej czynności wychodzenia, co mogłoby głupio wyglądać? Musiałoby głupio wyglądać? Może po prostu coś sobie wyobraził? Przypomniał. Przeczutł i odczuł. Jak postać filmowa, przed którą nagle otwierają się rozliczne możliwości, ale wprawdzie musi zrobić coś bezsensownego. ▼ Postawił obie nogi na ziemi. Wyprostował się. Poprawił spodnie w kroku. Zamknął drzwi. Zamknął na kluczyk, bo taki to jeszcze był samochód. I właściwie brakowałoby tylko założenia kapelusza kowbojskiego i doprowadzenia tego sporymi okularami przeciwstónczymi. Jakaś muzyka. Jakieś zbliżenie. Grymas na twarzy. Trochę drżąca ciężka dłoń. Jakiś dziwny detal ubraniowy, jak skórzany pasek z klamrą w kształcie kapelusza. Lub krawat bolo z głową bizona lub innego byka. Wykałaczką w zębach do tego? Chyba lepiej papieros. Normalny: z filtrem, niecienki, może po prostu

cały biały. Taki jakiś davidoff gold. Lub nawet classic. Albo nie, lepiej nie za mocny – gold. ● I powiedzmy, że to byłoby na tyle w tej sytuacji. ▼ Postawił obie nogi na ziemi... Wyprostował się... Poprawił spodnie w kroku... Zamknął drzwi... Zamknął na kluczyk, bo taki to jeszcze był samochód... I zaczął iść. Przed siebie. Nieśpiesznie. Jakby trochę leniwie. Może nawet krzywo. Koślawo wręcz. Bez pomysłu na konkretne kroki. Bez przyglądania się ziemi. Lub niebu. Czyli bez opuszczonej lub zadartej głowy. Tak po prostu całkiem bez wyrazu zmierzał w stronę neoromańskiego kościoła. Neoromańskiego i niezbyt ładnego kościoła. Nieładnego. A na domiar złego ogrodzenie – częściowo murowane, częściowo kratowe – symbolizować miało swoisty różaniec oplatający to miejsce. Święte miejsce? ■ Może i święte. Trudno powiedzieć. Ale ogrodzeniowy różaniec z każdym krokiem wydawał się coraz paskudniejszy. Krokiem na chodniku, na asfalcie i na piasku. Coś nie tak było z terenem. ◆ Gdyby faktycznie palił papierosa, teraz mógłby go wypluć i zdeptać. Stał pod samą wpótotwartą bramą. Zatrzymał się przed nią. Bez wyraźnego powodu. Jak pomyłony. Niespełna rozumu. I zaczął rozglądać się, by udowodnić sobie, że w tym zatrzymaniu jest jakiś sens. Przynajmniej niewielki. Całkiem skromny. ■ Co to mogło być? Kowaliki? Zięby? Gajówki? Wilgi? Kukułki? Sójki? Rudziki? Pleszki? Mazurki? Gile? Sikorki? Wróble? Tak, wróble z pewnością. Unosiły się wysoko nad bramą. Zataczały koła nad nią. Na pewno nad nią. Na tej granicy. Unosiły się, zataczając koła w swoim dziwnym rwanym locie. Bez początku i bez końca. ▲ Oderwał od nich wzrok. Nie chciał przed sobą przyznać, że zrobiło to na nim niejakie wrażenie. Przeszał na nie patrzeć. Splunął pod nogi. Sobie pod nogi. A właściwie udał, że spluwa – tak zaszczo mu w gardle. Durny gest. Pierwszy durny gest. Drugi – próba głośnego przetknięcia czegokolwiek w ustach. Jeszcze bardziej nieporadny. I pchnął bramę. Wszedł na teren kościoła. Nawet niespecjalnie zaskrzybiała. Ale od razu dotarły do niego zniekształcone przez tanie nagłośnienie słowa i zdania: *The dead have highways. / They run, unerring lines of ghost-trains, of dream-carriages, across the wasteland behind our lives, bearing an endless traffic of departed souls. Their thrum and throb can be heard in the broken places of the world, through cracks made by acts of cruelty, violence and depravity. Their freight, the wandering dead, can be glimpsed when the heart is close to bursting, and sights that should be hidden come plainly into view. / They have sign-posts, these highways, and bridges and lay-bys. They have turnpikes and intersections. / It is at these intersections, where the crowds of dead mingle and cross, that this forbidden highway is most likely to spill into our world. The traffic is heavy at the cross-roads, and the voices of the dead are at their most shrill. Here the barriers that separate one reality from the next are worn thin with the passage of innumerable feet...* (Oczywiście, Clive Baker i pierwszy tekst z pierwszego tomu *Księgi krwi*, tekst tak samo zatytułowany. A tak w przekładzie Pauliny Braiter brzmi: „Zmarli mają autostrady. / Owe bezbłędne szlaki pociągów

duchów, sennych dylizansów przecinają pustkowie poza naszym życiem, niosąc niekończące się tłumy bezcielesnych dusz. W załamaniach naszego świata, szczelinach zrobionych przez czyny pełne przemocy, gwałtu i okrucieństwa, słychać ich szum i pulsowanie. Wędrujących po nich niespokojnych zmarłych można dostrzec, gdy serce niemal nam pęka, wówczas ukazują się obrazy zwykle ukryte przed naszymi oczami. / Na owych autostradach nie brak drogowskazów, mostów i zatoczek. Są tam ronda i skrzyżowania. / I właśnie na tych skrzyżowaniach, gdy tłumy zmarłych mieszają się i łączą, zakazane autostrady najbardziej zbliżają się do naszego świata. Ruch na rozstajach jest zawsze bardzo intensywny, a głosy umarłych dźwięczą najdojśniej. Kroki niezliczonych stóp niemal zupełnie zatarty tutejsze bariery oddzielające jedną rzeczywistość – pozostawiam jednak na razie kwestię jakości – cokolwiek to znaczy – tłumaczenia...) • I pchnął bramę... Wszedł na teren kościoła... Nawet niespecjalnie zaskrzybiała... Ale od razu dotarli do niego zniekształcone przez tanie wspomnienia obrazy i obrazy...
* Trzej mężczyźni oparli o mur.

[...]



Mariusz Czeżyk, bez tytułu, ołówkiem oraz kredkami

Piotr Brencz

Viet_Nam XXXIII

Nie wiesz, gdzie jesteś, żołnierzyku. Prawda? Podczas rozmowy ktoś podpalił ci świadomość, nalot na umysł, więc chciałeś tylko ugasić pożar.

Gołda, gówniarz za gówniarzem i sznupa. Wyglądasz jakbyś miał kombinerki w ryju. Gdy wychodziłeś z baru, twoje kolana zaczęły modlić się czotobitnie. Cały jesteś chwiejnością. Myśli drgają strunowo, ciało w końcu budzi się. Gdzie jesteś?

1. To moje mieszkanie. Mój parapet.
2. Wygląda znajomo...
3. A skąd mam kurwa wiedzieć?

1: Jak ja tu kurwa trafiłem? I (spoglądasz na zegarek) czemu dopiero docho-
dzi północ? Kiedyś potrafiłem upić sam świt...

Ktoś dobiera się do drzwi, słyszysz przekręcanie zamka. Spodziewałeś się kogoś?

1. To Teresa, przecież nadal mieszkamy razem.
2. Lepiej chwycę za nóż i pokażę gnojom, kto jest panem na zamku!
3. Niech to będzie nawet sama śmierć. Potrzebuję piwa.

3: Powinny zostać jakieś browary. Nocny jest daleko jak sam dzień. (idąc do kuchni czujesz ból kolan, w lodówce na szczęście zostały dwie butelki, otwierasz jedną i pijesz łakomie, jakby była ostatnią na całym świecie, a przecież nie jest)

Do mieszkania wchodzi Teresa. Wygląda pięknie, jak zawsze. Chcesz ją pocałować, ale przypominasz sobie, że przecież nie jesteście już razem. Dlaczego zerwaliście?

1. To jej wina. Była egoistką, kłamała, znikąca. Zdradzała? Powoli oddalała się i nie miałem już wyjścia. Musiałem to skończyć.
2. Za dużo piję, ciągle widzi mnie w tych mglistych stanach, miała dosyć. Zrywają mi się filmy, tłuczę własne ciało, ciągle nowy strup czy siniak. Nie mówiąc o moralniakach, te są najgorsze.
3. Jestem po prostu zepsuty, uszkodzony, wybrakowany. One wszystkie mnie zostawiały. Wszystkie prędzej czy później musiały przejrzeć na oczy. Umrę samotny.
4. Po prostu, takie jest życie, ludzie rozstają się a potem idą dalej, każde swoją drogą. Wszyscy szukamy własnego szczęścia.

3: Dlatego pijam do odcinki i na odcinki, nie codziennie. To tylko próba zapomnienia, mała śmierć w oczekiwaniu na tą dużą. Chociaż to samotności boję się bardziej niż samej śmierci. Gdyby archanieliczność spytała, czy chcę samotności na kolejne dekady, czy rażenie gromem tu i teraz, wybieram bez wahania – GROM!

Dwuminutowy północ, Teresa zachodzi cię od tyłu z matą świeczką w aluminium i syczy, oj jakże wężycie syczy:

– Wszystkiego najlepszego! Pomyśl życzenie. I masz, kup sobie coś ładnego – tu wciska ci w drżącą dłoń banknot. Jesteś wystraszony. Boisz się śmiertelności i przemijania. W dziwny sposób zaczynasz bać się samej Teresy. Co robisz?

1. Myślę nad życzeniem, to miły gest a pieniądze się przydadzą.
2. Nie, odejdz ode mnie. Na urodziny kupiłem ci kwiatka z Biedry za 12 ziko, a ty mi tu wciskasz banknoty jak stara ciotka w trakcie imienin?! Poza tym między nami już skończone.
3. Czy oto gniazdo żmij przybrało ludzką postać? Czuję się wyszydzany, jakby śmiało się ze mnie stu diabłów. Przecież wie, że nie cierpię urodzin. Tak jak sylwestra. Przypominają mi o śmierci. Niczym innym.
4. Wkroczyłeś w wiek chrystusowy. Nie ma dla ciebie ratunku ani zmartwychwstania. Jest martwolegnięcie, które zatrzyma tylko grób.

3 i 4 (oszust!): Nacisnęła na wszystkie czakry cierpienia. Zapadam się w sobie. Ona chodzi po wnętrzu mojej głowy z tą świeczuszką, niczym żołnierz Vietkongu w tunelach. Nie wie nawet, że ten słaby płomyczek potęguje tylko mrok w koło. Strach. Brodzi w jakiejś żyburze, każdy krok wydaje martwy chlupot. Byłem kiedyś nad morzem, nie pamiętam z którą z nich (pamiętka znad morza o Tobie pamięta, śpiewa Homo Twist), ani w jakiej miejscowości. Chowałem wspólne zdjęcia do kartonu po butach, nie pamiętam kto na nich był ani gdzie jest ten karton. Płakałem w miejscach publicznych, tonąłem w gorzale, nie pamiętam całych tygodni. Miałem przyjaciół, którzy dzwonili tylko po pijaku, nie pamiętam już imion. Jestem żołnierzem, którego zawsze rozrywa ta sama mina, traci te same kończyny, nigdy nie dochodzi do siebie. Nie pamiętam, dlaczego, tak po prostu jest.

Teresa przerażona ogromem twojej rozpaczki zdążyła już wyjść. Na odchodne mówiła coś, że niby potrzebujesz pomocy, że ona już cię nie uratuje. Widziałeś przez okno jak ktoś bierze ją pod ramię, a może tylko ci się wydawało? Świeczuska wciąż się pali, pomyślisz życzenie?

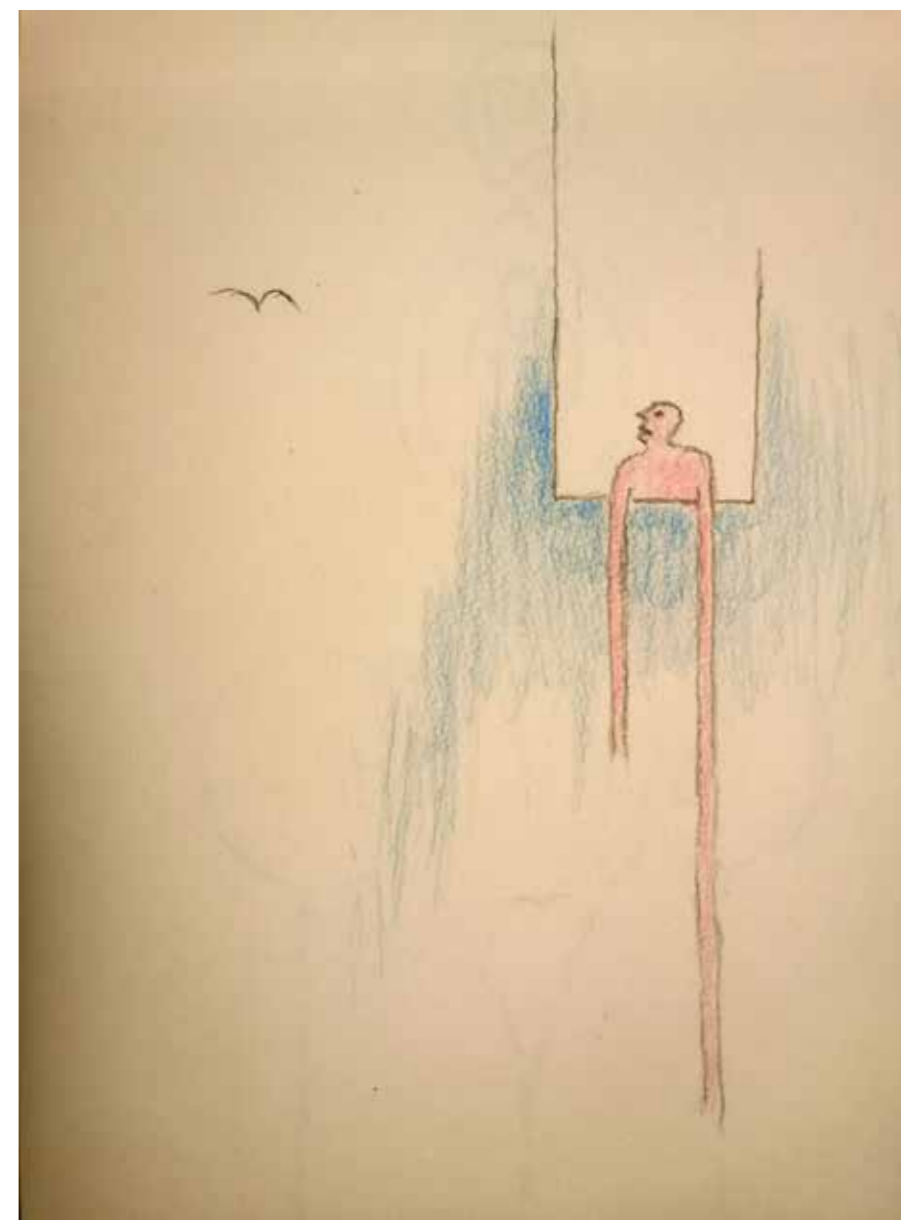
1. Teresa, życzę ci całego szczęścia na tym świecie. Miłości. Szczęścia.
2. Chłopie, zadbaj o siebie. Stań się lepszym człowiekiem. Warto żyć.
3. Teresa, obyś zauważyła swoje pogubienie, toksyczność, sposób, w jaki pogrywasz z ludźmi. Niech karma wróci i zamieni Twoje życie w nieustanny napalm i agenta orange.

4. Chłopie, chuj ci na grób. Zastużyłeś na wszystko, co na siebie sprowadziłeś. Nie ma i nie będzie dla ciebie łaski, będzie wieczna Kambodża, na którą nikt nie zwróci uwagi. Durny trep.

5. Nie myśl żadnego życzenia! To jakieś zabobony, dmuchnij w sposób, w jaki mówi się „na zdrowie!” przy oszronionych gówniarzach. I tyle!

#!glitch!#: Rano widzę, że świeczka jest zgaszona, lecz nie wypalona.

Mariusz Czeżyk, *bez tytułu*, ołówkiem oraz kredkami





Andrzej K. Urbański, *W trosce o dobro pacjentów*. fot. cyfrowa 2015

fot. artau 2015

Obraz towarzyszący winiecie plażyciemni poprzedziła siła fizyczna. W konsekwencji szyba zmieniła postać. Ostatni obraz tej publikacji to także efekt siły fizycznej. Co je różni? Pierwszy przyczynę do fotografii jest sprawczy, drugi pozostał bezsilny, gdyż nacisk dłoni na bramę garażową nie poruszył tej ostatniej, pozostawił tylko odciski.

czervo_01

Tak zwany *objet petit a* jest przyczyną danego pragnienia, tajemniczą cechą obiektu, która staje się motorem napędowym pragnienia i jednocześnie uniemożliwia pełne zaspokojenie poprzez konkretny przedmiot. Jak pisze McGowan: „*objet petit a* dostarcza satysfakcji dzięki temu, że podmiot krąży dookoła niego – jest czymś satysfakcjonującym tylko jako nieobecność”.

Andrzej K. Urbański

Granice między państwami są abstrakcją wynikającą z instynktu biologicznego. Ludzie nie mogą dzielić planety, bo planeta nie należy do nikogo, a tym bardziej do narodów czy państw. Wyobraź sobie, że nie ma granic, że nie ma państw ani narodów, więc nie ma za co zabijać ani umierać.

Pan Pudełko

N I K T N I E J E S T N I E L E G A L N Y

plażyciemnia	issn 3071-950X
skład i opracowanie graficzne	dominik pędziwol
okładka, projekt winiety i layout	andrzej k. urbański
konwent numeru	czervo_01 wacław mejbaum dominik pędziwol andrzej k. urbański
motorniczy	marcin czerwiński
wydawczyni	fundacja plaża i ciemnia, wrocław
www	plazaciemnia.pl
kontakt	marcin.czervo@gmail.com

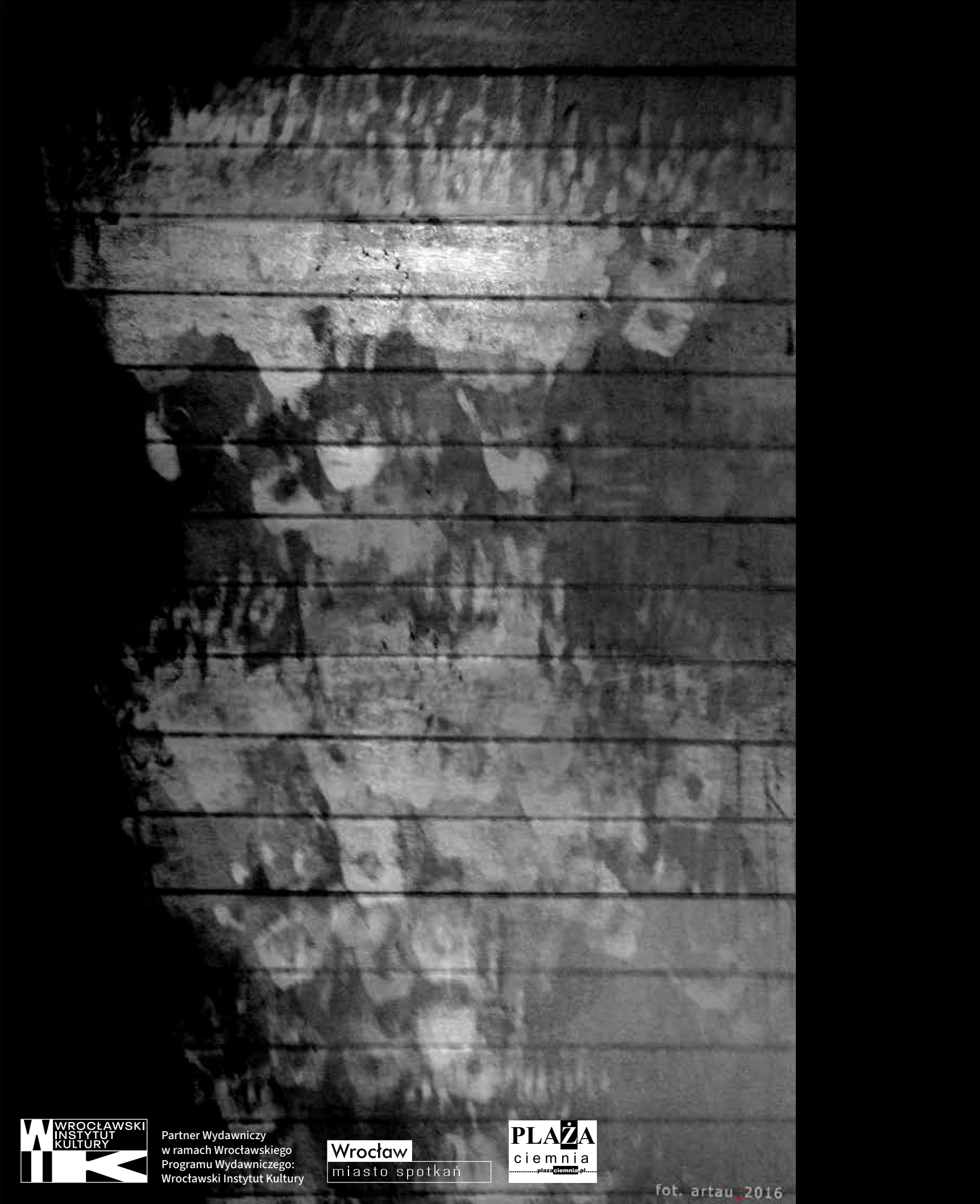
Wszystkie opublikowane tu teksty i obrazy stanowią dyskurs krytyczny.



Partner Wydawniczy
w ramach Wrocławskiego
Programu Wydawniczego:
Wrocławski Instytut Kultury



Przez chwilę nie patrz. Collage artau 2022



Partner Wydawniczy
w ramach Wrocławskiego
Programu Wydawniczego:
Wrocławski Instytut Kultury

Wrocław
miasto spotkań



fot. artau 2016